№ 11. Warszawa, 17 marca 1923. Cena 1500 mk. Rok IV.

TYDZIEŃ POLSKI

PO USTALENIU GRANIC WSCHODNICH.

Międzynarodowe uznanie wschodnich granic Rzeczypospolitej jest ostatnim aktem prawnym na drodze ukonstytuowania nowego Państwa Polskiego. Uznana *de jure* przez wszystkie mocarstwa, posiadająca własną Konstytucję, rząd i wojsko, prawnie zorganizowana Polska niepodległa miała na wschodzie przed 14 marca 1923 r. granicę faktyczną i prowizoryczną, ale nie usankcjonowaną prawnym aktem międzynarodowym, albowiem rząd Sowietów, z którym Polska ustaliła Traktatem Ryskim swoją granicę wschodnią, nie jest prawnie uznany przez większość mocarstw europejskich. Z punktu widzenia prawnego niewiadomo było, gdzie się kończy Polska na Wschodzie, bo faktyczne posiadanie nie jest prawem i może być zawsze zakwestjonowane.

Oczywiście, że prawne uznanie samo przez się też w obecnych stosunkach międzynarodowych nie gwarantuje posiadania. Polska orężem wywalczyła w latach 1919 i 1920 swoje granice wschodnie i tylko orężem obronić je może. Międzynarodowe uznanie niepodległej Gruzji nie przeszkodziło bynajmniej temu, aby w dwa tygodnie po tym akcie prawnym armja czerwona wkroczyła do Gruzji i prawnie uznane państwo faktycznie istnieć przestało. Tak samo i akt 14 marca 1923 r. nie zabezpiecza bynajmniej nas przed nowym najazdem bolszewickim. I jeżeli Rosja Sowiecka, która ciągle mąci pokój i szuka zaczepki, nie rzuci się na Polskę, to byjnajmniej nie przez wzgląd na decyzję Rady Ambasadorów, ale przez respekt dla armji polskiej, której siłę wypróbowała na swojej skórze w r. 1920.

Uwzględniając wyżej powiedziane, było by jednakże wielkim dla Polski błędem niedocenianie doniosłości aktu międzynarodowego z dnia 14-go marca. Brak prawnej sankcji dla granicy, oddzielającej Polskę od Rosji, do której większa część Polski należała, bardzo szkodził powadze państwa Polskiego, przyczyniał się do rozpowszechniania zagranicą poglądu na Polskę, jako na państwo „sezonowe": granice ma prowizoryczne i samo istnienie jego jest prowizoryczne.

Prawne uznanie stanu posiadania polskiego na Wschodzie musi zatem wpłynąć korzystnie na zaufanie do państwowości polskiej, co w dalszym ciągu nie może nic odbić się dodatnio na finansach Polski. Wielki sukces rządu Sikorskiego w polityce zagranicznej ułatwi jemu pracę nad naprawą skarbu i utrwaleniem ładu i porządku wewnątrz kraju. Dziś, kiedy Polska wszędzie na zewnątrz ma już nie prowizoryczne, lecz stałe granice, powinien skończyć się i stan prowizorjum w gospodarce państwowej, powinna Polska mieć nie prowizoryczną markę polską, lecz stały złoty polski.

Ale ten wpływ dziękczynny na chwilę bieżącą nie wyczerpuje wcale znaczenia aktu międzynarodowego z dnia 14 marca: ma on doniosłe znaczenie na przyszłość. Europa wychodzi powoli z okresu powojennego zamętu i prawo będzie nabierało coraz większego znaczenia w życiu międzynarodowem. Dla bolszewików prawo nie istnieje, powstająca z zamętu bolszewickiego Rosja, która utworzy rząd prawny, będzie musiała liczyć się z międzynarodowym aktem prawnym, z tym nowym stanem nie tylko de facto, ale i de jure, który cała Europa uznała.

Czy Rosja narodowa pogodzi się z tym stanem, czy nie będzie rościła pretensji do Wilna i Galicji Wschodniej, prawnie przyznanych Polsce? Jest to pytanie ogromnej wagi dla nas.

Rozpowszechniony jest u nas pogląd, że Rosja narodowa „nigdy" nie uzna granic Traktatu Ryskiego, że będzie koniecznie dążyła do odzyskania utraconych na rzecz Polski kresów zachodnich to jest do nowego przywłaszczenia naszych kresów wschodnich. Dlatego też panuje u nas pogląd, że z możliwych rządów rosyjskich najmniej niebezpiecznym jest dla nas rząd bolszewicki i że zatem w interesie Polski leży, aby jak najdłużej utrzy-

mywały się Sowiety w Rosji. Pogląd ten zdaniem naszym błędny zawsze zwalczaliśmy na łamach „Tygodnia Polskiego“. I wbrew nawet licznym oświadczeniom emigracji rosyjskiej, które można było by przytoczyć na dowód tego, że Rosja nigdy nie zrzeknie się Wilna, sądzimy, że w rzeczywistości stosunki nasze z Rosją inaczej się ułożą.

Co się tyczy oświadczeń emigracji rosyjskiej, to przedewszystkiem należy zrozumieć ich podłoże psychiczne, a następnie ocenić ich ciężar gatunkowy i wartość realną.

Emigranci rosyjscy, bez różnic obozów partyjnych i poglądów, protestowali i protestują przeciw Traktaktowi Ryskiemu i granicom w tym traktacie ustalonym. Jakże może być inaczej, jeżeli emigranci rosyjscy nie uznają rządu Sowietów za rząd rosyjski, nie przyznają jemu prawa do rozporządzania terytorjum Rosji? Sam fakt paktu z bolszewikami jest już w oczach emigrantów traktujących bolszewików jako bandytów znieważeniem Rosji.

„Nie o warunki pokoju ryskiego chodzi,— pisze D. Mereżkowski, — nie o to, czy są one wygodne dla Rosji. Rosji niema, i nie z Rosją a z jej największymi wrogami Polska pokój zawarła.. Nie o terytorjum chodzi, naród rosyjski zrozumiał, że lepiej mieć małe torytorjum, niż nie mieć żadnego, teraz Rosja nie posiada żadnego terytorjum, bo wszystkie terytorja są bolszewickie.... Rosja przyszła nie przebaczy Polsce nie „granic“ i nie „terytorjów“, lecz samego paktu z jej katami“. *)

Mereżkowski, powiedzą na to, nie jest politykiem. Emigranci politycy rosyjscy protestują właśnie przeciwko granicom traktatu ryskiego, bo uważają te granice za krzywdzące Rosję, nie odpowiadające jej interesom, nie wyrzekają się oni tak łatwo terytorjów, jak Mereżkowski. Otóż, jeżeli emigranci rosyjscy protestują przeciw granicom traktatu ryskiego jako politycy realni, to robią to, o ile są istotnie „realnymi politykami“, dla tego, że korzystają z każdej okazji, aby zwalczać i krytykować nienawistny rząd bolszewicki, to też i twierdzą, że rząd ten przegrawszy wojnę z Polską, zawarł niekorzystny pokój i zdradził Rosję, ustąpiwszy terytorja, których nie powinien był ustępować. Jeżeli zaś niektórzy emigranci zupełnie szczerze myślą, że Rosja mogła i powinna była wojować o Wilno, że tego wymaga jej interes narodowy, to znaczy, że nie są realnymi politykami, a żyją w krainie marzeń o imperjum wszechrosyjskiem, które należy do przeszłości.

Przypuśćmy, że po upadku bolszewizmu emigracja rosyjska, republikańska lub monarchiczna, stanęła u władzy, czy będzie ona mogła wszczynać wojnę o Wilno?

Oczywiście, że nie. Zetknięcie się z gruntem realnym zupełnie zburzonej i wymagającej przedewszystkiem odbudowy ekonomicznej Rosji, zmusił emigrację rosyjską do zmiany orjentacji, a nowy rząd do potwierdzenia zawartych już traktatów pokojowych.

Słuszną uwagę czyni p. Kader w świeżo wydanej książce „Imperjum Lenina“: „Z chwilą renesansu, ktokolwiekby zajął stanowisko bolszewików, będzie zmuszony skierować całą działalność swoją na odbudowę ekonomiczną kraju. Zajmie to okres czasu co najmniej lat kilkudziesięciu.“ *)

Jeszcze rząd bolszewicki w chwili ostatecznego bankructwa może chwycić się wojny, jako środka przedłużenia swego istnienia, ale rząd narodowy, który przyjdzie pod hasłem odrodzenia kraju, przez długie lata nie będzie mógł prowadzić wojen zwłaszcza o ziemie, jak wileńska, z któremi nie wiążą Rosji ani kultura, ani interes ekonomiczny, ani wspomnienia historyczne.

Ktokolwiek bądź rozpocznie na gruncie realnym odbudowę Rosji, będzie zmuszony liczyć się z nowymi warunkami i zewnętrznymi i wewnętrznymi. Co się tyczy warunków zewnętrznych, to w nowym układzie stosunków międzynarodowych po wojnie światowej i rewolucji rosyjskiej jest miejsce na narodowe państwo rosyjskie, ale niema miejsca na dawne wielonarodowe imperjum Wszechrosji.

Fakt ten stwierdza, między innemi i uchwała Rady Ambasadorów, uznająca obecne granice Polski. Uchwała ta, jak również uznanie poprzednie de jure państw nadbaltyckich, jest przekreśleniem prawnem tej przeszłości, w której istniało Imperjum Wszechrosyjskie. Odrodzenie Rosji będzie budową w nowych warunkach nowego państwa, a nie wskrzeszeniem przeszłości umarłej.

Co się zaś tyczy wewnętrznych warunków, które będą wpływały na politykę zewnętrzną tego nowego państwa, to trzeba zwrócić uwagę na głębokie przemiany społeczne, jakie dokonały się na ziemi rosyjskiej, na zniszczenie tych właśnie klas, które były podstawą dawnego imperjalizmu rosyjskiego: klasy ziemiańsko-urzędniczej (dworiaństwa) i burżuazji przemysłowej. Nowa Rosja powstanie jako państwo o wybitnie włościańskim charakterze, ponieważ włościaństwo jest w Rosji jedyną warstwą produkującą, która nie tylko nie uległa zniszczeniu w epoce przewrotu, ale rozszerzyła i utrwaliła swój stan posiadania.

Najsilniejsza ekonomicznie klasa nie może nie wywierać wpływu na politykę, i dla tego można z wielkiem prawdopodobieństwem przypuszczać, że polityka przyszłej Rosji będzie się orjentowała na wschód i na południe, które zawsze nęciły włościanina rosyjskiego obszarami i żyznością ziemi, a nie na zachód, który jako kraj więcej zaludniony, chłopa rosyjskiego nie interesuje.

Jeżeli przyszłej Rosji mogą być potrzebne brzegi morza baltyckiego dla handlu, to bez Wilna może ona obejść się doskonale.

Gorzej jest z Galicją Wschodnią. Dla Rosji niema ona wielkiej wartości, ale chodzi o nią ukraińcom jako o kolebkę ruchu ukraińskiego. Trudno przypuścić, aby Ukraina zrzekła się swoich pretensji do Galicji Wschodniej, ale Ukraina będzie musiała liczyć się z układem politycznym, posiadającym sankcję międzynarodową.

*) *D. S. Mereżkowskij.* Carstwo Antichrista.

*) *Stefan Kader.* Imperjum Lenina. Wilno 1023.

W SPRAWIE ROZWOJU IDEI POLSKIEJ NA KRESACH.

II.

Dawne wojny były w porównaniu z wojną narodów (1914—1918) romantyczno-rycerskiemi poematami tak w sposobie ich prowadzenia, jak też pod względem psychiki walczących. Walczyły bowiem zawodowe, wyćwiczone armje, a obie strony traktowały się wzajemnie z kurtuazją. W przeciwieństwie do tego wojna 1914 roku była wojną demokratyczną w całem znaczeniu wyrazu, nie armje, lecz całe uzbrojone narody stanęły do walki i biły się z zapamiętałością, z okrucieństwem takiem, iż nie pozostawało miejsca dla jakiejkolwiek rycerskości; chodziło o zniszczenie przeciwnika, jego mienia, jego pracy, jego rodziny; w końcu pojawiły się nowe, a straszne narzędzia niszczycielstwa w postaci gazów trujących... Pomyślmy jednak, że wszystkie te okropieństwa wydawać się będą idyllą na tle przyszłej wojny. Mniejsza o to, że za mobilizacją mężczyzn wszystkich zdolnych do pracy pójdzie mobilizacja kobiet do funkcji pomocniczych; ujrzymy rzeczy nierównie groźniejsze, ujrzymy dzięki zatrważającej szybkości, z jaką pędzi postęp techniczny, całe ogromne obszary niszczone przez gazy ze wszystkiem, co na nich jest, ludźmi, zwierzętami, roślinami, z samolotów zaś spadać będą bomby, przeistaczające w kupę gruzów całe duże miasta...

Daleko żywiej od nas, laików, uobecniają to sobie wojskowi. Niemiec, pułkownik v. Boelcke pod wrażeniem tego, co się w Smyrnie zeszłej jesieni działo, nie zawahał się głośno tę gorzką prawdę wyznać, że Niemcy powinni się pożegnać z marzeniami o odwecie*). „Wszak wojna niemiecko-francuska zrobiłaby z Niemiec Zachodnich i, być może, Francji Wschodniej jedną wielką płonącą Smyrnę — i gorzej jeszcze, bo do samolotów z bombami i do dalekonośnych dział dołączonoby, czego w Azji Mniejszej nie było, trujące gazy i bakcyle dżumy. *Ein solcher Krieg ist unvorstellbar und deshalb unmöglich*. Do takiej wojny „*Mitteleuropa ist zu klein*". Więc stąd wniosek, że wojny nie będzie? Nie. Tego Niemiec, wojskowy, nie wykrztusiłby. Wojna, zdaniem jego, jest prawem historji, narzędziem Opatrzności, jak twierdził Moltke, w rządzeniu światem. Wojny będą nadal, lecz przeniesione zostaną tam, *wo Platz für sie ist*. Miejsca zaś na to na świecie jest dużo...

Inaczej sądzi najszlachetniejszy ze współczesnych myślicieli niemieckich, Fr. W. Förster. Jeszcze w r. 1918, przejęty grozą na widok wzajemnego wytępiania się narodów, zalecał, jako jedyny ratunek, w przepięknej rozprawie swojej *Weltgewissen und Weltpolitik*, politykę chrześcijańską, która nie jest marzeniem poety, złudzeniem jakiemś, dziecinadą, lecz jedyną *realną* polityką, której wzór dawała Polska w w. XV, w epoce unii Horodelskiej i później w r. 1454, gdy szereg miast wschodnio-niemieckich domagał się swojego włączenia do państwa Polskiego, pociągnięty ustrojem Rzeczypospolitej, zapewniającym możność swobodnego rozwoju wszelkim grupom narodowościowym. I dziś, zdaniem Förstera, nie wolno odrywać polityki od idei chrześcijańskiej, „innej silniejszej antytoksyny przeciw zarazkom samolubnych podniet i chciwych apetytów nacjonalistycznych nie znajdziemy". Wskazania, wypływające z Ewangelji, należy przyjąć wszystkie, bez wahań, bez tchórzliwych zastrzeżeń, że Zbawiciel miał na widoku nie życie całe, lecz tylko życie prywatne. Polityka chrześcijańska jest „koniecznością, która wynika z warunków przez wojnę wytworzonych, koniecznością, którą świat pod groźbą zagłady cywilizacji przyjąć musi" *).

I zdaje się, że głos Förstera nie jest głosem wołającego na puszczy. Wiemy od niego bezpośrednio, że rośnie w Niemczech młodzież zupełnie innego, niż stare pokolenie, kierunku myśli i uczuć i że w jej kołach znajduje licznych wyznawców idea „przemienienia sfery polityki w sferę religji", którą niegdyś rzucił Krasiński w przedmowie do *Przedświtu*, która dziś głęboko i wszechstronnie rozwiniętą została w *Weltgewissen und Weltpolitik*.

Ale jeśli gdzie, to w świecie katolickim powinny były poglądy Förstera znaleźć żywy oddźwięk. I rzeczywiście, w sierpniu r. z. na Zjeździe Katolickim w Monachjum Kardynał Faulhaber, zaznaczywszy, iż katolicy niemieccy dali dostateczne dowody swego patrjotyzmu, ażeby módz mówić otwarcie, otwarcie potępił ów nacjonalizm, który w swej przesadnej, bałwochwalczej formie samoubóstwienia narodu staje się nowym wybuchem pogaństwa, nowym kultem bogów fałszywych: „choćbyśmy najgłębszą czuli miłość do naszej niemieckiej ojczyzny, nie mamy prawa zamykać oczu na to, co jest dobre i piękne u innych narodów". — Niemniej silnie wystąpił przeciw nacjonalizmowi pisarz francuski X. Beauregard. Kierunek ten jest ślepem podporządkowywaniem się narodowi, pojmowanemu, jako absolut. A zatem z natury swojej usiłuje nacjonalizm naginać religję do swoich potrzeb i celów, w dalszym ciągu dąży on do tworzenia kościołów narodowych, a gdzie się to nie udaje, tam przybiera on postać nacjonalizmu bezwyznaniowego, t.j. praktycznej negacji wszelkich wartości duchowych i moralnych... Kościół — dowodzi X. Beauregard, — poddając się nacjonalizmowi, tem samem wyrzekłby się samego siebie, swego posłannictwa, wyrzekłby się idei powszechności i jedności, leżącej u podstaw jego, stanowiącej jego moc **).

A encyklika Piusa XI *Ubi arcana Dei*, ta tak starannie przemilczana przez większość prasy naszej, twarda, surowa i w myśli i w słowach encyklika, czemże ona jest, jeśli nie stwierdzeniem faktu, że pokój narodów bardziej dalekim jest dziś, niż kiedykolwiek, że nietylko zwyciężeni do zwycięzców, ale i zwycięzcy jedni do drugich pałają nienawiścią — że zło staje się coraz nieznośniejszem, a próby i rady polityków na kon-

*) We „Frankfurter Zeitung", (№ 682). Por. Fr. W. Förster „Angewandte Politische Ethik". (Ludwigsburg, 1922).

*) Z rozdziału o Försterze w książce mojej „Europa, Rosja, Azja" Wilno 1923, str. 100—114.

**) Por. hr. Fr. Potocki „Katolicyzm a doktryny siły" (Czas, 1923, № 2).

gresach i konferencjach zamiast oczekiwanego uspokojenia dały wyniki wręcz przeciwne, więc wzywając do powszechnego rozbrojenia nienawiści, papież przeciwstawił ideały katolickie i katolickie metody działania, których celem — *pax Christi in regno Christi*, ideałom i metodom stronnictw, głoszących ideologję siły.

Ale czy niestrudzona propaganda Förstera, czy nawoływania wybitnych katolików, czy encyklika Piusa XI będą miały jakikolwiek skutek? Sądzę, że tak, że się zaznaczy jakiś zwrot idealistyczny i że gdzie nie gdzie pięknym zaświeci płomieniem; pomimo to mam głębokie czucie raczej, niż przekonanie, że zwyciężą prądy przeciwne. Bo, nie mówiąc o tem, iż wnętrze każdego zosobna narodu toczy rak komunistyczno bolszewicki, narody te w Europie ogarnięte masowym nacjonalistycznym do obłędu dochodzącym szałem, który je rzuca jedne na drugie, dają patrzącemu z ubocza Japończykowi czy Hindusowi widok jednej bezkształtnej masy w konwulsyjnych podrygach pędzącej w przepaść zatracenia. Paradoks Hartmanna o masowem wyrzeczeniu się życia, które będzie końcem świata, czyli, po prostu mówiąc, o masowem samobójstwie ludzkości, zdaje się bliskim spełnienia.

Tylko nastąpi to w innej formie, niż sądził myśliciel niemiecki. Nie filozoficzne przeświadczenie, iż niebyt jest lepszy od bytu, lecz — przeciwnie — żądza bytu, ale wyłącznie dla siebie przeciw wszystkim innym, pcha do przedsięwzięć mających cechy samobójczego szału. Wbrew świadomości, iż doprowadzona do najwyższej doskonałości technika niszczenia czyni wojnę absurdem, niemożliwością, dając w wyniku zamiast zwycięstwa jednej strony nad drugą znicestwienie stron obu, naród każdy będzie wolał wybrać hazard wojny w nadziei, że uprzedzi przeciwnika, albo w przypuszczeniu, że posiada narzędzia niszczenia, o których przeciwnik jeszcze nie wie. Słowem, *Säbelglaube* i *Säbeldenken* wezmą górę. Jakże słuszne są słowa Konst. Srokowskiego, że może nigdy produkowanie technicznych, przedewszystkiem zaś psychicznych przesłanek do wojny „nie było tak intensywne, jak jest obecnie w tym szczęśliwie rozpoczętym okresie rozbrojenia, pacyfikacji i ligi narodów“.

Zarzucą mi pesymizm. I jestem nim istotnie tak w filozofji, jak w rzeczach polityki i życia praktycznego. Ale pesymizm nie jest bezsilnem załamaniem rąk. Wraz z Brunetière'm powiem, że ci, co tak myślą, nie rozumieją go, a nie rozumiejąc, nie są zdolni wydobyć z niego *ce qu'il contient d'encourágement à l'action.* Pesymizm bodźcem jest do czynu, do walki ze złem w celu choćby tylko złagodzenia straszliwych konsekwencji dzisiejszego psychicznego stanu świata, w którym zawiść i nienawiść, jak głosi Pius XI w encyklice swojej, stały się naturą człowieka: *ita apud longe plurimos diuturna invidendi consuetudo vim naturae jam obtinet.*

(D. n.) **Marjan Zdziechowski.**

SPRAWA ŻYDOWSKA W OŚWIETLENIU APOSTOŁA MARXIZMU.

III.

Asymilacja, antysemityzm, sjonizm.

Po załatwieniu się z kwestją rasy, Kautsky przechodzi do asymilacji, z którą załatwia się prędko. Mówiąc o ciężkiem położeniu żydowstwa w wiekach średnich, o prześladowaniach i wysiedleniach żydów, o wzrastającej tolerancji żydów w postępowych krajach kapitalistycznych w Holandji i Anglji, począwszy od wieku XVII, nasz autor naturalnie nie wspomina o Polsce, która pierwsza przygarnęła żydów i dała im samorząd wtedy, gdy w innych krajach wypędzano ich masowo i palono na stosach. „Asymilacja jest tylko kwestją czasu“, gdyż liczba małżeństw mieszanych ciągle wzrasta. W XIX wieku wychrzciło się jakoby 200,000 żydów (Zollschan). Przytaczając przykłady Włoch, gdzie w socjalnie wyżej stojących rodzinach żydowskich stało się prawie regułą wydawanie dzieci za chrześcjan, oraz Danji, gdzie ludność relatywnie się zmniejszyła. Kautsky twierdzi, że tylko w ghetto w więzach bezprawia utrzymuje się żydowstwo. Rozpada się zaś ono, łączy się ze swojem otoczeniem, zanika tam, gdzie żyd uważany jest i traktowany jak wolny i równy wśród równych. Oprócz ghetta życiodajnem źródłem dla żydowstwa jest i antysymityzm. Antysemityzm jest to walka drobnomieszczaństwa z wielkim kapitałem, później — walka tegoż drobnomieszczaństwa z proletarjatem. „Najbardziej zacofane elementy żydowskich ortodoksów ciągnęły ze wschodu (z powodu prześladowania) do wysoko rozwiniętych krajów zachodnich. Wywołało to naprzód skutek taki, że proces asymilacji żydów zachodnich został przerwany, następnie że antysemityzm ożył na nowo. I to z dwojakich powodów: 1) z powodu wzmożenia się konkurencji dla inteligentów i kupców i 2) z powodu wzmożenia się napływu obcego żydowstwa. Równocześnie antysemityzm zmienił swój charakter. Przedtem zwracał się on w pierwszym rzędzie przeciwko wyzyskowi kapitalistycznemu, za reprezentanta którego uchodził żyd. Teraz coraz bardziej napaści antysemickie ściąga na siebie żyd proletarjusz, biedny student, biedny tandeciarz, robotnik domowy. Dziś antysemityzm jest odmianą walki z proletarjatem, najtchórzliwszą, najbrutalniejszą z odmian, jest socjalożerstwem głupiego franta z Wiednia.“ Zdaje się, że mówiąc o tym proletarjacie, Kautsky nie miał na myśli gości sopockich, ani przedstawicieli dyplomacji i biurokracji sowieckiej. Ciekawą jest uwaga autora, że „polscy żydzi w ojczyźnie przewyższają (!) wykształceniem swoje otoczenie — i to jest *jedną z przyczyn*, dla których asymilacja z ludnością nieżydowską nie mogła nastąpić“.

Kautsky nie zdaje sobie sprawy, że co innego jest asymilacja żydów w krajach, gdzie, jak w Danji, stanowią oni 0,3 — 0,4 ogółu ludności, a co innego na wschodzie Europy. We Włoszech jest żydów 45,000, we Francji ze 100,000, a w Polsce 14% ogółu ludności, w miastach zaś 40—60%. Asymilacja takiej ilości żydów, żyjących w wiel-

kich skupieniach, jest rzeczą trudną, szczególnie wobec rozbudzonego ruchu sjonistycznego i zresztą, nawet niepożądaną. Wbrew temu co mówi Kautsky i inni przeciwnicy teorji ras, żydzi asymilują się trudniej od „aryjczyków“ i w następnych pokoleniach z małżeństw mieszanych cechy rasowe występują wyraźnie jeszcze w trzeciem pokoleniu. Stanowią oni przeciwieństwo do niemców i innych narodów zachodnich, którzy asymilują się łatwo i zupełnie. Iluż działaczy, uczonych, społeczników, polityków polskich pochodzenia niemieckiego nietylko się spolszczyło już w 2-giem pokoleniu, ale cała ich psyche jest polską, słowiańską. Takim był Joachim Lelewel (Lehöffel), syn ojca niemca i matki rusinki, w którym, wedle słów własnych, nie bylo ani kropli krwi polskiej. Vincenz Pohl dał nam syna Wincentego Pola. C. K. urzędnik, czech germanizator Venzel Sheinoha, Vtelensky wychował nam syna Karola Szajnochę, wielkiego artystę dziejopisa; dalej — syn pruskiego magazyniera solnego Stanisław Smolka, Jan Lam, Henryk Szmidt, historyk i rewolucjonista Karol Widman, Kornel Szlegel, Otto Hausner — trybun Lwowski, syn kupca z Hamburga, i tylu, tylu innych. Ci ludzie o krwi niemieckiej byli to polacy z polaków, polacy bez zastrzeżeń.

Naogół proces rzeczywistej asymilacji żydów odbywa się nie tak łatwo; żyd, przyjmujący wiarę chrześcijańską, nie przestaje być członkiem społeczności żydowskiej (Mendelsohn Salomon Majmon) dla tego też żyd chrzczony przeważnie nie skupia na sobie nienawiści i odrazy swoich dawnych współwyznawców, a raczej przeciwnie, nie przestaje być ich przyjacielem i towarzyszem, nie przestaje uważać ich za swoich bliższych rodaków. Nawet przy regularnych a uroczystych modlitwach żydów, w których obligatoryjnie musi uczestniczyć dziesięciu, może brać udział, gdy jednego zabraknie, żyd chrzczony, ale nigdy chrześcijanin urodzony (Schopenhauer). W Hiszpanji w wieku XV i XVI wskutek prześladowań, powstali „krypto — żydzi“ czyli żydzi utajeni (Marani), Wyznawali na zewnątrz religję obcą, a na wewnątrz zakon Mojżeszowy; wykonywali wszystkie obrzędy zewnętrzne religji katolickiej. Niektórzy z nich wstąpili nawet do klasztoru i zostali kapłanami (Zombart). Niektórzy potomkowie tych maranów katolików, po kilku stuleciach, potrafią być jednocześnie katolikami i sjonistami. Ta łatwość asymilacji powierzchownej, pozornej, ta giętkość rasy żydowskiej, połączona z uporem i stałością zasadniczych cech religijnych i rasowych, stanowi rzeczywistą przeszkodę do prawdziwej asymilacji.

Mówiliśmy o wybitnych polakach pochodzenia niemieckiego; jakże mało podobnych typów znajdujemy wśród żydów zasymilowanych. Juljan Klaczko należy do nielicznych wyjątków. Zresztą ci żydzi, którzy naprawdę się asymilowali, stają się z ducha polakami, francuzami, niemcami, stają się często antysemitami, jako Otto Weininger, Drumont, Artur Meyer. Czemu tak się dzieje, wyjaśnił to doskonale ten sam Weininger: są to żydzi, — którzy „sami siebie zrozumieli, siebie poznali, zwalczyli siebie samych i zechcieli pognębić w sobie swoje żydowstwo“.

Po asymilacji, z którą załatwia się tak łatwo, omawia Kautsky sjonizm przed i powojenny. Jasnem jest, że ze swojego stanowiska musi być przeciwnikiem sjonizmu. „Sjonizm nie jest ruchem postępowym lecz reakcyjnym. Nie chce on pójść po linji koniecznego rozwoju i w tym kierunku działać, lecz chce temu kołu toczącemu się naprzód wpaść pomiędzy szprychy. Nie uznaje on prawa samookreślenia narodów i przeciwstawia mu proklamowane przez się prawo historyczne, które dziś wszędzie nie dopisuje, nawet tam, gdzie najsilniejsi starają się go przeprowadzić“. W Palestynie niema jeszcze dawnej ludności żydowskiej, która przeważnie mogłaby wejść w rachubę. W samym tylko New-Yorku znajduje się 14-cie razy tyle żydów, co w Palestynie. Tam żydowska ludność wynosi tylko $1/8$ czy $1/9$ ogółu ludności. Ze 100,000 żydów w Palestynie przed wojną zaledwie 20,000 żyło z pracy (znikoma ilość pracy na roli), „Według prawa pracy, jak i według prawa samookreślenia narodów należy dziś Palestyna nie do żydów w Wiedniu lub Londynie, który ją dla żydowstwa proklamują, lecz do arabów w samej Palestynie, który ją w znacznej większości zamieszkują“. „W obliczeniach sjonistycznych ludność arabska jest przeważnie ignorowana lub traktowana jest jako przeszkoda, o którą się zbytnio troszczyć nie potrzeba. Tylko przypadkowo przypominają sobie sjoniści, że Palestyna jest krajem już osiedlonym. Przyjmuje się wówczas, że dotychczasowi mieszkańcy zostaną wyparci, by ustąpić miejsca napływającym żydom. Jak wszędzie, tak też w przedniej Azji nie do pokonania jest duch narodowego samookreślenia, skoro on raz ogarnął masy ludowe. O ostatecznem zwycięstwie arabów niema co więcej wątpić. Można się zatem spodziewać, że nie nazbyt liczne będą ofiary, które wywoła polityka sjonizmu, która w gruncie nic innego nie robi, jak tylko transportuje — przy olbrzymich kosztach i największych ofiarach zainteresowanych— *z obszarów, gdzie pogromy mają się ku końcowi na obszary, gdzie pogromy takie z największa mocą wybuchną... Nie w Palestynie, lecz w Europie wschodniej rozstrzygają się losy cierpiącej i uciskanej części żydowstwa nie dla kilku tysięcy, lecz dla mniej więcej 8 do 10.000.000. Los ich jest jak najściślej związany z losem rewolucji w ojczyźnie.* Ale nie tylko o wolność polityczną żydów toczą się obecnie walki na wschodzie Europy. Przygotowują się też równocześnie warunki podniesienia ich stanu przemysłowego“. Uwagom tym sędziwego apostoła marxizmu nie można odmówić słuszności.

W końcu swojej książki Kautsky powraca raz jeszcze do problemu ras, omawia teorję ras czystych i mieszanych, oraz pożytek wynikający ze skrzyżowania ras. Od skrzyżowaniami się żydów z innymi narodami, od małżeństw mieszanych oczekuje autor jaknajlepszych skutków — właśnie dla żydów. „Żadna warstwa ludności nie ma tyle do wygrania z domieszki nieżydowskiej, mniej lub więcej chłopskiej krwi, co ludność żydowska“. A zatem — wniosek nieoczekiwany — *jedyną drogą ratunku dla żydów jest wzięcie udziału w walce klasowej proletarjatu.* „Bez wątpienia, wyzwolenie żydowstwa oznacza jego zaniknięcie, tem gruntowniejsze, im gruntowniej to wyzwolenie się dokonało. Punkt ciężkości kwestji żydowskiej

leży dzisiaj na obszarach dawnej Rosji. Nędza żydowska może tylko zniknąć w politycznym i społecznym stanie wschodniej Europy, który tamtejszych żydów zmusi do mówienia językiem swego otoczenia, przez co otwiera się droga asymilacji... Tylko z antysemityzmu, z prześladowań czerpie żydowstwo, jako odrębna, odróżniająca się od swego otoczenia korporacja, swoją egzystencję. Z prześladowaniem żydowstwa musi zaniknąć i ono samo... Nie oznacza to przejście z ortodoksalnego żydowstwa w kościelne chrześcijaństwo, lecz powstanie nowych wyższych ludzi". Pozwalamy sobie o tem wątpić. Wyłączność, ghetto, wytwarzały od czasów starożytności nie narody obce, lecz żydzi sami. Przyznają to wszyscy pisarze żydowscy (Graetz, Bernard Lazare, Salomon Reinach). Prześladowania przychodziły znacznie później i były rezultatem wyodrębnienia się żydów, ich pogardliwego i wrogiego stosunku do otoczenia. Wszak i obecnie w New-Jorku jakiś miljon żydów żyje w zupełnem dobrowolnem ghetto, tak samo w Londynie w dzielnicy Whitechapel. Są tam żydzi od lat 20—30 zamieszkali w Anglji i niemówiący po angielsku. Nie są oni tam wcale prześladowani. Ale jeżeli w Europie zachodniej, z małym odsetkiem żydów, można jeszcze myśleć o asymilacji to jest ona nie dopomyślenia w Polsce, gdzie jest ich koło 4.000.000.

Asymilacja — to przedewszystkiem małżeństwo mieszane. Żydzi zaludniają przeważnie miasta. Co by się stało z naszą ludnością miejską w razie takiego zmieszania się ras? (W Kielcach żydzi stanowią 50% ludności, w Łodzi 37%, w Chełmie 50% przed, a 77% po ewakuacji, w Radomiu 46%, w Zamościu 75% i t. d.); byłaby to asymilacja, ale asymilowanie polaków przez żydów, judeizacja miast. Zmieniłby się typ polaka miejskiego, antropologicznie i psychologicznie. Asymilacja w krótkiem tempie jest, wobec rozbudzonego nacjonalizmu i imperjalizmu żydowskiego, oraz zbyt wielkiej rozbieżności typu psychologicznego polaków i żydów niemożliwą, i z przyczyn podanych wyżej zgoła niepożądaną. A więc ani sjonizm, ani asymilacja, przynajmniej u nas, sprawy nie rozwiązuje. Jakież jest wyjście?

Wyjście może być tylko jedno: żydzi, z całą swą odrębnością językową, religijną i prawno-obyczajową muszą stać się lojalnymi obywatelami kraju. Na ich język, religję, obyczaje nikt nastawać nie może. Wszystkie te swobody gwarantuje konstytucja. Ale powinni zrzec się przywilejów, gdyż przywileje rodzą nienawiść. Powinni zrzec się opieki potencji obcych, pozostawić myśl utworzenia państwa w państwie. Żydzi sjoniści, obywatele Palestyny, muszą być traktowani jak obcy poddani. Żydzi, którzy przyjęli obywatelstwo polskie — traktowani narówni z innymi obywatelami, ale bez żadnych przywilejów. A stanie się to wtedy, gdy żydzi poczują i poznają siłę organizacji polskiej, głównie organizacji ekonomicznej, i oporu polskiego. Żydzi zawsze korzyli się przed siłą; przed wojną wszędzie stali po stronie naszych zaborców, pomimo ograniczeń, utrudnień i nawet prześladowań, jakich od nich doznali, bo szanowali w nich potęgę; na Litwie byli rusyfikatorami, w zaborze pruskim germanizatorami. I polaków będą szanować i poddawać się prawom krajowym, o ile się przekonają, że polacy dadzą sobie radę bez żydów, i że ekonomicznie możemy się od nich uniezależnić. Historja nasza wykazuje, że polacy i żydzi mogli żyć obok siebie setki lat bez żadnej nienawiści. Zresztą imperjalizm żydowski znajdzie sobie inne ujście. Można się spodziewać, że w przyszłości, gdy stan Rosji się ustali, część żydów z miast polskich przeniesie się na wschód, gdzie warunki ekspansji ekonomicznej będą dla nich znacznie dogodniejsze; nastąpi częściowo odżydzanie miast, jak nastąpiło w Poznańskiem. Nie do Palestyny, ale do bezkresnych obszarów Rosji mogą emigrować masy żydowskie. Wtedy i sprawa żydowska, jak i sprawa rasy, która stanowi tylko część skomplikowanego problemu żydowstwa, straci dla nas swą ostrość i znaczenie.

Dr. Bercellus Parago.

LEW TOŁSTOJ.

OJCIEC SERGJUSZ.

VII.

I oto widzi siebie jako dziecko w domu matki, na wsi, gdy do nich podjeżdża bryczka, a z bryczki wysiadają: wuj Mikołaj Sergiejewicz z wielką w kształcie łopaty czarną brodą i chuda dziewczynka Paszeńka, z dużemi łagodnemi oczyma, ze smutną, nieśmiałą twarzą. I oto do ich towarzystwa chłopców przyprowadzają tę Paszeńkę. I trzeba z nią się bawić — a nudno. Ona jest głupia, więc kończy się na tem, że zaczynają z niej kpić, i zmuszają do pokazania jak ona pływa. Wtedy ona kładzie się i pokazuje na podłodze. Wszyscy się śmieją z tego, że ją wzięli na kawał. Ona to widzi i czerwienieje dostając rumieńców i staje się nieszczęśliwą, taką nieszczęśliwą, że robi się wstyd i że nie można nigdy zapomnieć tego jej skrzywionego, dobrego, pokornego uśmiechu. I Sergjusz przypomina sobie, jak widział ją po tem wszystkiem. Widział ją znacznie później, na krótko przed wstąpieniem do klasztoru. Była żoną jakiegoś ziemianina, który przehulał jej cały majątek i bił ją. Miała dwoje dzieci: syna i córkę. Syn umarł będąc maleńkim.

Sergjusz przypomniał sobie, jak widział ją nieszczęśliwą. Następnie widział ją w klasztorze. gdy była wdową. Była taką samą, nie można powiedzieć, głupią, lecz pozbawioną elegancji, nijaką i nieszczęśliwą. Przyjeżdżała z córką i jej narzeczonym. Byli już wówczas ubodzy. Potem słyszał, że mieszka ona gdzieś w powiatowem mieście i że klepie biedę. „I po co ja myślę o niej?"—zapytał siebie. Lecz nie mógł przestać o niej myśleć. „Gdzie jest ona? Co z nią się dzieje? Czy wciąż jest tak nieszczęśliwą, jak wówczas, gdy pokazywała, jak pływa po podłodze? Lecz po co mam o niej myśleć? Co mi z tego? Skończyć trzeba".

I znowu ogarnął go strach i znów aby ratować się przed tą myślą, począł myśleć o Paszeńce.

Leżał tak długo, myśląc to o niezbędnem skończeniu ze swem życiem, to o Paszeńce. Paszeńka wydawała mu się ratunkiem. Wreszcie zasnął, i we śnie zobaczył anioła, co przyszedł

ŚLEPA WALKA.

I.

Takie określenie ciśnie mi się pod pióro, gdy zamierzam rozważyć istotę sporu pomiędzy prawicą i lewicą w dziedzinie ich ekonomiczno-społecznych dążności. Wydaje mi się, że obie strony nie widzą, a przynajmniej nie widzą jasno, ostatecznego celu, o która każdy z nich walczy, a taka walka nosi w sobie cechę postawioną w tytule. Bo na czemże polega ideologia sporu? Tu nawiasem zaznaczyć należy, że ideologje są świadomością sporów, stanowią one świadomy wyraz głębiej ukrytego czuciowego czysto podłoża walk. Idee — jak sztandary kierują napięcia walk na drogi, które wskazuje sterująca w walkach świadomość. Jak sztandary — decydują one często o zwycięstwie. Aby ocenić kierownicze — a zatem decydujące świadomie — momenty walki, rozważemy zarzuty stawiane wzajemnie przez walczące obozy.

Społeczne dążności prawicy w pojęciu lewicy — to przedewszystkiem laissefairyzm — liberalizm ekonomiczny i obrona ujawniającego się w nim egoizmu posiadaczy przez wysuwanie tego, co się nazywa „trwałym ładem“ i „narodową solidarnością“.

Lewica — w pojęciu prawicy — to większy lub mniejszy socjalizm i dążenie do niego drogą walko-klasowego chaosu (oczywiście pod socjalizmem rozumieć należy marksowską jego koncepcję — jedyną realizowaną w społeczeństwach dzisiejszych).

To są sztandary—zwalczane. O takie podstawowe systemy toczą się walki. Otóż wydaje mi się, że dziś żadna ze stron walczących nie potrafiłaby bronić wartości bezwzględnych swego sztandaru, swego ideowego stanowiska. Każda ze stron przyparta, że tak powiem, do muru ścisłych rozważań mogłaby utrzymywać jedynie, że jej systemat jest lepszym, niż przeciwnika. Wydaje mi się, że obie strony trzymają się swych sztandarów teorji jedynie w braku jakichś lepszych, któremi by można zamienić tamte. Tylko jeszcze u pachołków ślepe przywiązanie do sztandarów, tylko jeszcze oni wierzą w bezwzględne wartości wyznawanych teorji. Rzetelna świadomość myślowa, przenikająca procesy życia, widzi wyraźnie załamania się w dotychczasowych ujęciach przez myśl zjawisk życiowych. Widzi to, ale nowych dróg, na których rozwiną się nowe ujęcia, jeszcze jasno nie widzi. Przedewszystkiem słów kilka należy poświęcić zagadnieniu samej genezy ideologji społecznej. Straciły już w tej dziedzinie wartość podstawowe twierdzenia marksizmu, że interesy materjalne, że ludzkie apetyty i dążności niższego rzędu wytwarzają różnice w ideologjach i że decyduje o nich stopień posiadania ekonomicznego. Wiemy już, że twórczość zdobywająca prawdy myśli—płynie,—jak i wszelka istotna twórczość—z bezinteresownych dążności ducha. Oczywiście, ludzie bierni czerpią z ogólnej skarbnicy nagromadzonych już twórczych wartości gotowe już prawdy, dobierają oni te prawdy często do potrzeb swojej wygody i swego spokoju. I tem więcej uzależnione są te prawdy nie od dążności umysłu, lecz od wygód i interesów poszczególnych osobników. Im większa bierność tych osobników, tam większa dążność ich do nietwórczego spokoju i bezwładu. Ale bierność taka nie decyduje nigdy o niczem — stwarza jedynie te zera, które mnożą za sobą jednostki więcej twórcze zarówno po obydwóch stronach barjery dzielącej społecznie prawicę i lewicę. I zwykle ilość tych zer nieomal jest równą po obydwóch stronach barjery.

Pomimo tego, cośmy mówili o biernem przystosowywaniu światopoglądów—zbyt wielu widzimy bogatych radykałów społecznych i zbyt wielu osobników ubogich, a należących przekonaniowo do autoramentu prawicowych ugrupowań chrześcijańskich, abyśmy mogli, nie wdając się już nawet w głębsze rozważania, serjo traktować doktrynę, głoszącą wszechwładztwo materjalnych pożądań w twórczości ideologicznej w dziedzinie społecznej.

---

doń i rzekł: „Idź do Paszeńki i dowiedz się od niej, co musisz czynić i na czem polega twój grzech i twój ratunek“.

Obudził się i przyszedłszy do przekonania, że to był sen zesłany przez Boga, ucieszył się i postanowił zrobić to, co powiedziane mu było we śnie. Wiedział, w jakiem mieście ona mieszka —było to o trzysta wiorst stąd—więc poszedł tam.

VIII.

Paszeńka już dawno nie była Paszeńką, a starą, wyschniętą, zmarszczoną Paraskowją Michajłówną, teściową zwichniętego pijaczyny urzędnika Mawrikjewa. Mieszkała w tem powiatowem mieście, gdzie zięć jej miał ostatnią posadę i tam utrzymywała rodzinę: córkę, swego chorego na neurastenję zięcia i pięcioro wnucząt. A utrzymywała ich w ten sposób, że dawała lekcje muzyki kupieckim córkom. Miała dziennie czasem cztery, czasem pięć godzin lekcji, i w ten sposób miesięcznie zarabiała około sześćdziesięciu rubli. Za to utrzymywali się tymczasem, oczekując posady. Z prośbą o posadę Paraskowja Michajłówna rozesłała listy do wszystkich swoich krewnych i znajomych, w tej liczbie i do Sergjusza. Lecz list ten już go nie zastał.

Była sobota i Paraskowja Michajłówna sama miesiła słodkie ciasto z rodzenkami, które tak dobrze robił jeszcze pańszczyźniany kucharz w domu jej ojca. Paraskowja Michajłówna chciała jutro, przy święcie zrobić przyjemność wnuczętom.

Masza, córka jej, niańczyła niemowlę, starsi chłopiec i dziewczynka nie wrócili jeszcze ze szkoły. Zięć zaś nie spał w nocy, więc teraz zasnął. Paraskowja Michajłówna nie spała wczoraj do późna, starając się złagodzić gniew córki na męża.

Widziała, że zięć, istota słaba, nie mógł myśleć i żyć inaczej i widziała, że wymówki żony nic tu nie pomogą, więc używała wszystkich sił, ażeby zmiękczyć je, aby nie było wymówek, nie było kwasów. Nie mogła poprostu fizycznie znosić złych stosunków między ludźmi. Dla niej było rzeczą jasną, że nie może to wpłynąć na lepsze, i że przeciwnie wszystko się pogorszy. Tak, o tem wcale nie myślała, a poprostu męczyły ją swary, podobnie jak niemiły zapach, zgiełk lub razy.

Inna rzecz, że żadna ideologja nie może pomijać znaczenia materjalnych potrzeb. Na życie ludzkie składają się oprócz samorzutnych procesów psychicznych i procesy czysto fizyczne, ulegające niezmiennym prawom, prawom przyrody. Ale w pożądaniach opartych na takich procesach nie należy widzieć sił określających kierunki w dziedzinie twórczości. To, co ulega w nas niezmiennym prawom przyrody, nie poddaje się oddziaływaniu woli, gdyż prawa przyrody są bezwładne i niezależnie od nas. Im więcej zjawiska życia w hierarchji ich zniżają się do dziedziny czysto zwierzęcej — tem mniej poddają się oddziaływaniom świadomej woli. Dziedzina stosunków ekonomicznych należy do tych, gdzie w dużej mierze rządzą prawa bezwładne, niezmienne — przyrodzone. Na nich są oparte dążenia do zachowania i podtrzymania fizycznego bytu i z tem związane dążności do rozporządzania środkami egzystencji, stąd płyną i inne przyrodzone czysto dążenia ekonomiczne. Pomieszanie praw płynących ze sfery duchowej ludzkiego życia (z tej sfery, której przejawy odznaczają się samorzutnością i decydują o wolnej twórczości) z prawami działającemi bezwładnie i leżącemi w dziedzinach zjawisk fizycznych i bliskich do nich w pewnej mierze zjawisk ekonomicznych — takie pomieszanie zasnuwa zdradliwe sieci. Z sieci tych Rosja wyplątać się nie może, bezwładnie miotając się pomiędzy sprzecznościami ekonomicznej polityki i komunizmu.

Tylko drogą powolnego przetwarzania stosunków zależnych od fizycznych praw bytu, drogą uduchawiania cielesności możemy oddziaływać na materjalne strony życia. Musimy jednak przyjąć, że cele wskazuje i kieruje nami nie ta przetwarzana, bezwładza i bierna strona życia, — ale ta przetwarzająca, twórcza i czynna w dążeniach myśli oparta. Przez wysiłki myśli życie w rozwoju swoim szuka prawdy i zmierza ku niej — ku Królestwu Bożemu przyszłości zmierza różnemi drogami i zależnie od celów, jakie stawia. Ale czasem zatraca ono przewodnie prawdy, gubi się w chaosie i idzie poomacku, — i tak jest dziś, zdaniem mojem, ze społecznemi dążnościami.

Laisseferyzm chciałby wszystko pozostawić ślepej grze sił ekonomicznych, nie widzi konieczności stawiania im tam i skierowywania we właściwe łożysko. — Bo siły te nie kierowane niczem zawsze iść będą w kierunku najmniejszego oporu, w kierunku koniec końcem rozkładowego działania egoizmów. Nie krępowane niczem egoizmy zawsze w dziedzinie ekonomicznej będą wyzyskiwać wszelkie konjunktury tylko w celach takiego czy innego zysku nielicznych. Wszystko, co z tego zysku będzie udzielanem bądź na cele dobra powszechnego, cele narodowe, bądź na poprawę bytu warstwom nieposiadającym środków produkcji— będzie miało charakter rzuconych z góry ochłapów. Ochłapów — w postaci filantropji bądź w postaci praw udzielanych oszczędnie, „byle tylko byli cicho". Z prawem nielicznych do takiego rozporządzania z góry dobrami materjalnemi — liczni upośledzeni pogodzić się nie chcą i podejmują szeroko stosowaną walkę. Zasadą tej walki jest jedynie wprowadzanie przymusu państwowego do stosunków ekonomicznych. Innych skutecznych śroków na ujemną stronę działania laisseferycznego egoizmów przeciwstawiający się jej obóz nie znajduje.

Ingerencja przymusu państwowego jest koniec końcem wywłaszczaniem warstw posiadających środki produkcji. Albo „mienszewickiem" wywłaszczaniem z góry przez potężne śruby podatkowe, przez monopole przemysłowe i handlowe, i przez cały wygórowany etatyzm państwowego socjalizmu, albo jest bolszewickiem wywłaszczeniem z dołu — przez rewolucję socjalną.

I jedno i drugie wywłaszczenie tamuje przyrodzoną inicjatywę indywidualnej przedsiębiorczości i sprowadza zanik koniecznej dla rozwoju ekonomiczuego twórczości.

Właśnie z uczuciem samozadowolenia pokazywała Łukierji, jak rozczyniać ciasto, gdy nagle Michał, jej sześcioletni wnuk, w fartuszku, na krzywych nóżkach, w cerowanych pończoszkach wbiegł do kuchni z przestraszoną twarzą.

— Babciu, jakiś straszny starzec ciebie szuka.

Łukierja wyjrzała.

— Tak, pątnik jakiś proszę pani.

Paraskowja Michajłówna otarła swoje chude łokcie jeden o drugi i ręce o fartuch, i poszła do pokoju po portmonetkę, aby wziąć pięć kopiejek, lecz w tej chwili przypomniała sobie, że nie posiada mniejszej monety od dziesięciu, więc postanowiła dać chleba i wróciła do kredensu, lecz wtem poczerwieniała na myśl o swem skąpstwie i kazawszy Łukierji odkroić pajdę, poszła sama prócz tego po pieniądze. „Oto tobie i kara — rzekła do siebie — daj teraz podwójnie".

Przepraszając, ofiarowała jedno i drugie pątnikowi i w chwili gdy dawała jałmużnę, nietylko nie była dumna ze swej hojności, lecz przeciwnie, była zawstydzona, że daje tak mało. Tak okazały wygląd miał pątnik.

Nie bacząc na to, że przeszedł on wiorst trzysta z imieniem Chrystusa na ustach, że obdarł się, schudł i zczerniał, że włosy miał ucięte czapkę chłopską i buty takież same, nie bacząc na to, że pokornie się kłaniał, miał Sergjusz jednak wciąż ten sam imponujący wygląd, który czynił go takim pociągającym. Ale Paraskowja Michajłówna nie poznała go. Nie mogła poznać, nie widząc go prawie dwadzieścia lat.

— Wybaczcie. Może jesteście głodni?

Wziął chleb i pieniądze, a Paraskowja Michajłówna była zdziwiona, że nie odchodzi lecz patrzy na nią.

— Paszeńka, ja do ciebie przyszedłem, przyjm mnie!

I czarne, przepiękne oczy uporczywie i błagalnie patrzyły na nią, aż zabłysły łzami. Pod siwiejącemi wąsami żałośnie zadrgały wargi.

Paraskowja Michajłówna schwyciła się za wyschniętą pierś, otwarła usta i zamarła w zapatrzeniu utkwionych źrenic w twarz pątnika.

— Ale nie może to być! Stefan! Sergjusz! Ojciec Sergjusz!

— Tak, we własnej osobie — cicho prze-

Ale innej drogi lewica socjalna nie widzi, według niej rozwój społeczny z żelazną koniecznością musi iść w kierunku opanowywania egoizmów przez wciskanie indywidualistycznej gospodarki w socjalistyczne ramy. I w drodze ciągłej walki, ciągłego przeciwstawiania się buduje lewica społeczna mienszewicki system, utrwalając wygórowany etatyzm.

(D. n.) **Ludwik Bujalski.**

NA MARGINESIE.

Kto śledzi obrady obecnego sejmu, którego kadencja zapowiadała się tak burzliwie, musi przyznać, że w porównaniu ze ś. p. Konstytuantą poziom jego obrad jest znacznie wyższy. Dyskusje tonem swym i treścią odbiegają bardzo korzystnie od ich akompanjamentu na zgromadzeniach wiecowych i w partyjnych dziennikach. Przedewszystkiem są rzeczowe i skutkiem tego nie rzadkiem jest zjawiskiem, że mówca z lewicy otrzymuje poklask prawicy i odwrotnie. Wprawdzie w każdym takim wypadku jakiś dziennikarz w partyjnem pismie próbuje zawstydzić swego własnego współpartyjnika, wmawiać w niego, jak musiał się czuć zmniejszony i upokorzony, gdy przeciwnicy przyznawali mu słuszność i podjudzać go, by— broń Boże — nie zaniedbał jątrzyć i drażnić „wrogów“ swego obozu, to jednak nie zapobiega powtarzaniu się podobnych wypadków na przyszłość. — Możemy być spokojni, jeżeli krytyka programu skarbowego wygłoszona przez p. Diamanda spotkała się z poważnem uznaniem prawicy, to bez względu na to, czy mina mówcy była tak zmięszana, jak twierdzą pisma lewicowe, czy tak niewzruszona, jak ją widziano z ław prawicy, szanowny poseł na pewno przez pięć lat pozostanie niepoprawnym i będzie mówił to, co mu rozum i sumienie dyktuje, nie zaś to, czego wymaga efekt na galerji. — Albowiem pierwszym i walnym zyskiem z rozpoczęcia normalnego okresu konstytucyjnego w parlamentaryzmie polskim jest zredukowanie wpływu galerji na salę obrad.

Przez całe cztery lata swego trwania Konstytuanta działała pod presją przedwyborczego podniecenia. Ukończenie zadanej roboty, to jest ustanowienie konstytucji, miało być początkiem nowej walki o mandaty, to też pracowano, radzono, przemawiano w ten sposób, by sobie drogę do tryumfów wyborczych torować. Mowy wygłaszane za okno, postulaty stawiane dla zjednywania aplauzu wyborców — obniżały z konieczności poziom obrad, a może okaże się, że obniżyły ich wynik. I obecnie mówcy liczyć się muszą niewątpliwie z opinją tych kół, którym zawdzięczają mandaty, mają jednak tę gwarancję, że podstawą sądów będą rzeczowe wyniki ich pracy poselskiej, nie zaś frazesy, gesty i wykrzykniki, z jakiemi się w izbie produkować będą. Pięć lat, to nie długi okres w życiu narodu, ale to dosyć czasu, by wykazać, jak się spełniło obowiązek objęty wraz z powierzonym mandatem.

Drugim czynnikiem wpływającym dodatnio na tok obrad, to wyższy naogół poziom kwalifikacji umysłowych u posłów. I wyborcy sami zrozumieli, że nie jest rzeczą pierwszorzędnej wagi demonstrowanie przed Europą, jak dalece Polska ludowa jest nawskroś ludową, że ilość sukman na ławach poselskich nie olśni tej staruszki, która oglądała już niejedno widowisko równie efektowne i miała sposobność sądzić je po owocach. — To też procent posłów z „domowem wykształceniem“ znacznie się zmniejszył, a — co ciekawe — najwyższy jest stosunkowo na ławach prawicy. Tam odczuwano jeszcze potrzebę wylegitymowania się z tego, że nie darmo się jest „demokracją“ chrześciańską, czy narodową. Lewica poszukała sobie obrońców fachowych, a więc przedewszystkiem pomników. Może światło płynące ze wschodu nauczyło ją cenić „speców“.

Może to krajowi przynieść pewną ulgę, że

---

mówił Sergjusz. — Tylko nie Sergjusz, nie ojciec Sergjusz, lecz wielki grzesznik Stefan Masatski, zgubiony wielki grzesznik. Przyjm, pomóż mi.

— Nie, to nie może być. Jakże to ojciec tak spokoniał? Ależ chodźmy.

Wyciągnęła rękę, lecz on nie przyjął jej i poszedł za nią.

Lecz dokąd prowadzić? Mieszkanie było maleńkie. Dawniej miała dla siebie maleńki pokoik, prawie komórkę, lecz potem i tę komórkę oddała córce. I teraz siedziała tam Masza usypiając przy piersi niemowlę.

— Proszę siadać tutaj zaraz, — powiedziała do Sergjusza, wskazując mu ławkę w kuchni.

Sergjusz natychmiast usiadł i zdjął, oczywiście już gestem przyzwyczajenia, z początku z jednego potem z drugiego ramienia plecak.

— Mój Boże, mój Boże, jak spokorniał ojciec. Taka sława i nagle tak.,.

Sergjusz nie odpowiadał i tylko łagodnie uśmiechnął się, kładąc przy sobie plecak.

— Masza, czy wiesz, kto to?

I Paraskowja Michajłówna szeptem opowiedziała córce, kim był Sergjusz i one razem wyniosły pościel i kołyskę z komórki, przygotowując ją dla Sergjusza.

Paraskowja Michajłówna zaprowadziła Sergjusza do komórki.

— O tu proszę odpocząć. Proszę wybaczyć. A ja muszę iść.

— Dokąd?

— Lekcje mam, wstyd się przyznać — muzyki uczę.

— Muzyki — to dobrze. Tylko, Paraskowjo Michajłówno, ja przecież w interesie przyszedłem. Kiedy będę mógł pomówić z tobą?

— Szczęśliwa będę. Wieczorem może?

— Można wieczorem. Tylko jeszcze jedna prośba: proszę nie mówić, kim jestem. Ja tylko przed tobą się zdradziłem. Nikt nie wie, gdzie jestem. Tak trzeba.

— Ah, ja powiedziałam córce.

— Więc, poproś ją, żeby nikomu nie mówiła.

Sergjusz zdjął buty, położył się i natychmiast usnął po bezsennie spędzonej nocy i po przebytych czterdziestu wiorstach.

Kiedy Paraskowja Michajłówna wróciła, Sergjusz siedział w swej komórce i czekał na nią.

jego sprawy są w dobrych rękach, że będą sumienniej i rozważniej traktowane.

Tej ulgi naród bardzo potrzebuje, bo sprawy te są ważne i trudne.

Mniej kłopotliwą i niebezpieczną jest sprawa uznania naszych granic wschodnich. Z góry można powiedzieć, że zapadnie takie postanowienie, które usankcjonuje fakty dokonane, — redukując poprawki co najwyżej do mało znaczących szczegółów, które można przeprowadzić bez zatargów. Inaczej być nie może; orzekać zmiany, to znaczy dekretować wojnę, wojnę domową czy zewnętrzną — ale w każdym razie nowe zderzenie sił, nowy zamęt i nowe odroczenie aż do powstania nowych faktów dokonanych. Otóż — jak niezawodną jest rzeczą, że powód do wojny zawsze się znajdzie, gdy jest chęć do wojny, tak równie niezawodnie żadna kwestja nie zamąci pokoju, póki się chce pokój utrzymać. Ci, co dziś rozstrzygają w tej sprawie, główne mocarstwa zwycięskie, niewątpliwie pragną i potrzebują utrzymania pokoju, (tak samo jak Polska), jeśli więc nawet zamach litewski na Kłajpedę nie skłonił ich do wprowadzenia w grę siły, nie można wątpić, że nie uciekną się do żadnej przemocy dla narzucenia Polsce granic innych, niż te, które ona dla siebie zdobyła.

Wiele kłopotliwszą jest kwestja naprawy skarbu i tu — więcej niż kiedykolwiek — ujawniła się w Sejmie ta objektywność i rozwaga, której wymaga sumienne spełnianie obowiązków poselskich. Nikt ministrowi Grabskiemu nie chce utrudniać jego ciężkiego zadania, ale też nikt — ani prawica, ani lewica nie chce na ślepo sankcjonować planów, które mogą być niecelowe. — Podatki dochodowe czy majątkowe, pośrednie czy bezpośrednie — zasadniczych przeciwników nie mają, chodzi tylko o to, by jeden podatek nie zabił drugiego.

W czytankach dla dzieci spotykamy takie zdania, że „owca daje nam wełnę na odzież, mięso, kiszki na struny" — ale należy objaśnić, że o ile da mięso i kiszki, musi przestać dawać wełnę. Każdy minister skarbu musi o tem pamiętać, że kto chce owce strzydz, nie może się nią żywić, tylko ją żywić potrzebuje.

Na tem polega sztuka zasilania skarbu i bogacenia kraju równocześnie.

Reflektor.

W SPRAWIE TEATRÓW MIEJSKICH.

Przed kilku dniamy przyniosły dzienniki wiadomość o ukończeniu prac komisji międzyministerjalnej, mającej za zadanie uzdrowienie teatrów miejskich pod względem artystycznym i finansowym. Komisja ta opracowała cały szereg projektów, od przyjęcia których przez magistrat uzależniła udzielenie subwencji dla teatrów miejskich. Ponieważ sprawa ta jest sprawą kultury teatralnej w Polsce, należy ją rzeczowo oświetlić i omówić. Pominę tutaj warunki czysto finansowe a zastanowię się tylko nad temi, które bezpośrednio lub pośrednio dotyczą strony artystycznej teatrów miejskich w Warszawie.

Zanim jednak do tego przystąpię, należy pokrótce zdać sprawę z tego, jak w obecnej chwili przedstawia się stan artystyczny czterech miejskich teatrów dramatycznych i jednego operowego.

W poprzednim zeszycie „Tygodnia Polskiego" pisałem, że praca dyr. Solskiego w Rozmaitościach jest typowem leczeniem, które nie może dać odrazu jakichś niezwykłych rezultatów. Linja jednak, po której idzie zarówno repertuar Rozmaitości, jak i gra zespołu, świadczą niezbicie o tem że dyr. Solski chce stworzyć placówkę piękna — powiedzmy — klasycznego tak w doborze sztuk pod względem literackim (po linji tej idą wyraźnie upodobania kierownika literackiego Rozmaitości, dyr. Kotarbińskiego), jak i w grze arty-

---

Nie wychodził do obiadu, lecz zjadł zupę i kaszę, które mu tu przyniosła Łukerja.

— Cóż to, wcześniej przyszłaś, niż mówiłaś?— rzekł Sergjusz. — Możemy teraz pomówić?

— I za co mnie takie szczęście spotkało, że taki gość? Ja już lekcję opuściłam. Potem... Ciągle marzyłam pojechać do ojca, pisałam, i nagle takie szczęście...

— Paszeńko, proszę cię, słowa, które ci zaraz powiem, przyjm jako spowiedź, jak słowa, które ja w godzinie śmierci mówię przed Bogiem. Paszeńko, nie jestem świętym człowiekiem, nie jestem nawet prostym, zwykłym człowiekiem: jestem grzesznikiem, gorszym — nie wiem, czy od wszystkich — lecz gorszym od najgorszych.

Paszeńka patrzała z początku wytrzeszczając oczy; nie wierzyła. Następnie jednak, gdy w zupełności uwierzyła, dotknęła ręką jego ręki i żałośnie uśmiechając się rzekła:

— Stiwa, może ty przesadzasz?

— Nie, Paszeńko. Jam rozpustnik, zbój, bałwochwalca i oszukaniec.

— Mój Boże! Cóż to? — przemówiła Paraskowja Michajłówna.

— Lecz trzeba żyć. I ja, com myślał, że wiem wszystko, który uczyłem innych, jak żyć należy — ja nic nie wiem i proszę ciebie, naucz ty mnie.

— Co ty, Stiwa. Kpisz sobie. Za co wy zawsze kpicie sobie ze mnie?

— No dobrze, kpię i powiedz mi więc tylko, jak ty żyjesz i jak przeżyłaś życie.

— Ja? Ależ ja miałam najbrzydsze i najgorsze życie i teraz Bóg mnie karze, i dobrze mi tak, i żyję tak źle, tak źle...

— Jakże ty wyszłaś za mąż? jak żyłaś z mężem?

— Wszystko było złe. Wyszłam za mąż — zakochałam się w najbrzydszy sposób. Ojciec nie życzył tego. Nie licząc się z niczem — wyszłam. I będąc zamężną, zamiast pomagać mężowi, męczyłam go zazdrością, której nie mogłam w sobie pokonać.

— On pił, słyszałem?

— Tak, lecz nie umiałam go uspokoić. Czyniłam mu wyrzuty. A przecież to — choroba. On nie mógł powstrzymać się, a obecnie przypominam, jak nie dawałam mu pić. I między nami były okropne sceny.

I patrzyła cudnemi, cierpiącemi przy tem wspomnieniu oczyma na Kasatskiego.

(C. d. n.) Przełożył **Xawery Glinka**.

stów tudzież stosowaniu w reżyserji metod, zmierzających do *literackiej* czystości widowisk. Charakter ten nosiły i w grze artystów i w dekoracjach Drabika, tak różnych w koncepcji od dekoracyj jego w operze lub w Teatrze Polskim, przedstawienia komedyj molierowskich, „Cyda" i „Wieczoru Trzech Króli". Można nie być zwolennikiem tak pojętego teatru, można nie godzić się na jednostronną reżyserję Rozmaitości, z założeń tych wynikającą, niepodobna jednak nie uznać, że typ tego rodzaju teatrów, jak Komedja w Paryżu lub Burgtheater wiedeński, właśnie dzięki tej jednostronności jest rozsadnikiem zamiłowania do dawnej zwłaszcza literatury dramatycznej.

A teraz Reduta. O jaskrawszą antytezę Rozmaitości rzeczywiście trudno. Tutaj patronką wszystkich poczynań artystycznych jest młodość a jej pełnymi entuzjazmu kapłanami: Osterwa i Limanowski, nie cofający się przed najdziwaczniejszym nawet eksperymentem („Ulica dziwna" w inscenizacji Dobrodzickiego), o ile tylko z tego eksperymentu zdoła się wyłuskać ziarno szczerej poezji i nauki, z której korzystać można w przyszłości. Studja nad aktorem i zespołem rozpoczęli kierownicy Reduty od fotografowania zjawisk życiowych. Czasami było to dla widza aż irytujące. Zwłaszcza, że mogło się zdawać, iż Redutę pochłonie naturalizm, który tylko o tyle przynieść może sztuce pożytek, o ile sztuka w nim — nie utonie. Ale nie. Okazało się, że było to tylko studjum Reduty, studjum, które nauczyło jej zespół tej niezwykłej prostoty, szczerości i bezpośredniości, jakiej nie spotykamy dzisiaj w żadnym innym teatrze polskim. Trzema — tak różnemi — szczytami tego wczucia się zespołu Reduty w dzieło poety były: „Judasz" Tetmajera, „Pastorałka" Schildenfeld - Schillera i „Lekkoduch" Szaniawskiego.

Trzecim miejskim teatrem dramatycznym jest Teatr im. Bogusławskiego. Teatr ten ma zadanie specjalne. Jest to teatr o dążnościach popularyzatorskich. Niezapomnianą jego zasługą pozostanie spopularyzowanie wśród szerokich mas w Warszawie „Dziadów" i „Kordjana". Nie zawsze wykonanie stoi na wysokości granych tam utworów. I narzuca się tutaj samo przez się żądanie, by teatr ten miał mniejszy, niż obecnie personel, ale za to, żeby personel ten mógł dźwignąć te zadania, do jakich jest powołany. Dyr. Gorczyński wystawia w teatrze tym sztuki coraz bardziej odpowiadające zadaniom teatru popularyzatorskiego. Doskonale świadczy o tem dobór ostatnio granych tam utworów: „Eros i Psyche" Żuławskiego (poezja dramatu bardzo zewnętrzna, ale odwracająca uwagę widza od codzienności i zaznajamiająca go z zewnętrznemi walorami poezji, dzięki którym łatwiej trafi potem do istotnej wartości sztuki). „Dom otwarty" Bałuckiego (poczciwa komedja mieszczańska, rodzaj niemal na wymarciu), „Królewski jedynak" Rydla (otwierający piękną kartę naszej przeszłości) i „W gołębniku" Nikorowicza (komedja nie pozbawiona wdzięku i poezji).

Jak więc widzimy zadania i metody pracy trzech teatrów miejskich w Warszawie są zupełnie różne, uzupełniają się wzajemnie, ale nie mogą się z sobą w ramach jednego zespołu pogodzić. Jakże by wyglądać mogła mrówcza, analityczna praca Reduty w Rozmaitościach, zmierzających do zupełnie innych celów? Lub dążności dyr. Gorczyńskiego, stanowiące niejako „kurs przygotowawczy" i wstępne przygotowanie do tego, co w skończonej już formie objawia się w Rozmaitościach.

A opera. Czy spełniła ona zadania i nadzieje, w niej pokładane? Zapewne — nie spełnia ona tych wszystkich obietnic, któremi szafowała z początkiem sezonu. Mam wrażenie, że nie spełniła ich głównie — ze względów natury finansowej. Ale — bądź co bądź — wystawił dyr. Młynarski w obecnym sezonie: „Pieśni Hafisa" Szymanowskiego, „Kuglarza" Masseneta i „Kawalera z różą" R. Straussa, przypomniał i wznowił kilka oper, z których np. „Opowieści Hofmana" i „Dama pikowa", mimo, iż grane były na tle starych dekoracyj, wyszły — dzięki pomysłowej reżyserji Popławskiego — odmłodzone i odświeżone. Działalność dyr. Młynarskiego poddawali pochopni nasi augurowie niejednokrotnie surowej ocenie a jednak liczyć się z tem należy, że kierownictwo opery warszawskiej jest bardzo skomplikowane, bo w operze, mającej być pierwszą w Polsce, musi się pielęgnować troskliwie zarówno dramat muzyczny, jak i operę w dawnym stylu a odpowiednie wychowanie personelu w obu kierunkach napotyka na olbrzymie trudności. Pracując w trudnych warunkach nie mogła dyrekcja opery przeprowadzić wszystkich swych planów repertuarowych. Wszakże na podobne trudności natrafił w ubiegłym roku nawet Ryszard Strauss i to w operze o takich tradycjach jak wiedeńska (wystawił zaledwie jedną nowość operową — i to znaną Wiedniowi z opery ludowej — i jedną baletową). Co prawda inny teatr operowy np. frankfurcki wystąpił aż z dziesięcioma nowościami i sześcioma wznowieniami. Wszystko to zależne jest od warunków pracy a warunki warszawskie do najłatwiejszych nie należą. Współpraca Drabika, rozszerzenie działalności Popławskiego wydało rezultaty znakomite i przyczyniło się nie mało do *uteatralnienia* opery, które w przyszłości musi stać się całkowite.

Jak więc widzimy teatry miejskie w Warszawie mają wyraźne oblicze, świadczące o tem, że w odpowiednich rękach znajdują się ich losy. By praca mogła być mniej nerwowa, bardziej jeszcze skupiona, konieczne jest spełnienie trzech postulatów, z których pierwszy wysunęła również komisja międzyministerjalna: Jaknajszybsze zbudowanie Teatru Rozmaitości. Gra artystów w Teatrze Letnim jest coraz większym heroizmem a warunki techniczne uniemożliwiają lub przynajmniej osłabiają cały szereg zamierzeń wybitnie artystyćżnych. Drugim warunkiem jest umiejętna gospodarka finansowa, lecz przy uwzględnieniu trzeciego warunku: uniezależnienia dyrekcyj teatralnych od magistratu. A wiemy jak w roku bieżącym wpływał magistrat na repertuar. Skandal z „Oną" Wroczyńskiego, utworem zresztą bezwartościowym, był przedewszystkiem skandalem magistratu. „Borysa Gudunowa" nie wystawiła opera — z powodów politycznych (?). Z tych samych powodów porzucono myśl wystawienia „Zamachu" Sieroszewskiego, który wystawiono za to... aż w Lublinie. To wszystko świadczy o wpływach magistratu na kształtowanie się repertuaru, co jest, ze stanowiska sztuki, rzeczą wprost absurdalną.

Jakże przedstawiają się projekty komisji międzyministerjalnej? Czy znalazły one sposób finansowej poprawy stosunków w teatrach miejskich? Nie. Zato narzuciły magistratowi cały szereg życzeń, które utrudnią pracę artystyczną

poszczególnych dyrekcyj a nawet skarzą na śmierć Teatr im. Bogusławskiego.

A więc przedewszystkiem komisja międzyministerjalna żąda przywrócenia dyrekcji generalnej teatrów. Wprawdzie równocześnie jest ona za „autonomją teatrów pod kontrolą magistratu“, ale gwoli widocznie zadośćuczynienia zasadom biurokracji, chce widzieć na czele teatrów — prezesa. Do czego służyć ma to „polskie wydanie“ Małyszewa? Nie ulega wątpliwości, że do krępowania woli i zamierzeń dyrektorów — mimo zasady autonomji. Tembardziej, że komisja żąda jeszcze, by kwalifikowanie sztuk do grania powierzyć komisji z trzech rzeczoznawców obok dyrektorów i kierowników literackich. Jestem gorącym zwolennikiem wszelkiej pracy zespołowej a w szczególności pracy zespołowej *wewnątrz* teatru — oczywiście o ile pojęta jest tak szczerze, jak np. w Reducie — ale zasada ta, przeniesiona na zewnątrz pokryje się w zupełności ze znanem przysłowiem: „Gdzie kucharek sześć, tam niema co jeść....“ Ciężka machina, złożona z dyrektora generalnego, dyrektorów poszczególnych teatrów, kierowników literackich i rzeczoznawców będzie zabójcza dla wszelkiej twórczej inicjatywy kierowników teatru.

Ale komisja międzyministerjalna poszła jeszcze dalej: żąda ona „podporządkowania na czas przejściowy strony artystyczno-literackiej administracji teatralnej“. W takim razie należałoby może powołać jeszcze trzech rzeczoznawców, którzy oceniać będą czy sztuki, przeznaczone do grania, mogą liczyć na powodzenie finansowe?! Nie — przechodzi to już w dziedzinę drwin, drwin jednak bolesnych, boć przecież w komisji międzyministerjalnej uczestniczyli niewątpliwie przedstawiciele Departamentu Kultury i Sztuki.... Skoro mogło się zrodzić podobne żądanie nie zdziwi już nas tak bardzo punkt ultimatum, żądający wznowienia operetki pod zarządem miasta w miejsce zniesionego Teatru im. Bogusławskiego. Skoro nie chodzi „na czas przejściowy“ o względy artystyczne... Czy jest w tem jednak jakieś choćby wyrachowanie? Czy Warszawa utrzyma trzy teatry operetkowe? Zamknięcie w ubiegłym roku Teatru Wodewil da na to pytanie odpowiedź. Natomiast dobrze prowadzony teatr, poświęcony lżejszej komedji i współczesnemu dramatowi mógłby przy odpowiedniem kierownictwie liczyć na powodzenie. Ale nie kosztem Teatru im. Bogusławskiego. Nigdy. Możnaby taki teatr utworzyć w budynku Teatru Letniego po odbudowaniu Rozmaitości. Byłoby to nawet pewne ułatwienie pracy Rozmaitości, któreby mogły całkowicie poświęcić się realizacji swego planu artystycznego.

Najzupełniej sprzecznem z wymaganiami normalnej pracy teatralnej jest żądanie wprowadzenia widowisk dramatycznych w Teatrze Wielkim. Sztuczna symbioza teatrów o różnych zadaniach na jednej scenie utrudnia spełnienie zadań artystycznych na szerszą zamierzonych skalę, jak świadczy o tem choćby historja teatru lwowskiego w okresie przedwojennym. Jakiż zresztą cel mógłby przyświecać tym widowiskom, skoro scena w odbudowanym Teatrze Rozmaitości ma być wyposażona w wszelkie nowoczesne środki techniczne?

A teraz jeszcze dwa żądania, utrudniające pracę artystyczną: zredukowanie ilości kapelmistrzów i solistów w operze. Ktokolwiek zetknął się z pracą w operze i zdaje sobie sprawę jak zupełnie inaczej z natury rzeczy wyglądać ona musi tutaj niż w teatrze dramatycznym, wie, że ograniczenie dyrekcji do pewnej *cyfry* artystów jest absurdem. Zwłaszcza, gdy niema w Warszawie drugiej sceny operowej, któraby mogłaby na siebie przejąć część trudu opery „centralnej“. Taka Reduta operowa, szkoląca młodych artystów śpiewaków w duchu pracy teatralno-zespołowej na repertuarze opery kameralnej mogłaby być bardzo pożyteczna. Ale jest to muzyka przyszłości a życie domaga się swych praw.

Żądania komisji międzyministerjalnej, które przytoczyłem powyżej stoją, w tak wielkiej sprzeczności z zamierzeniami i celami artystycznemi teatrów miejskich, że dziwnym — zwłaszcza w zestawieniu z żądaniem podporządkowania się strony artystycznej stronie administracyjnej — wydaje się punkt, pozornie wielką troską o sztukę podyktowany, który brzmi: „Podporządkowanie strony dekoracyjnej widowisk wartościom muzycznym i literackim“. Punkt ten jest tak wyraźnie, chociaż tak niesprawiedliwie skierowany, pod adresem Drabika, że należy odrazu stwierdzić, iż żądanie powyższe, zewnętrznie tak słuszne — w rzeczywistości nie ma żadnej racji bytu. Podniesiono przeciwko Drabikowi zarzut, że dekoracjami w „Panu Twardowskim“ przygniótł wartości muzyczne baletu. Tymczasem Drabik dążył tylko do podkreślenia, uplastycznienia, upiększenia bajki muzycznej Różyckiego. Prawda, że malarz okazał się znacznie wybitniejszy od muzyka. Ale czy straciła na tem sztuka? Czy widowisko, dzięki temu, nie stanowiło artystycznej rewelacji? A dekoracje do „Hagith“, do „Kuglarza“, do „Kawalera z różą“ przygniatały dzieło? Czy nie przyczyniły się do piękna *całości*? Czy nie potęgowały wrażenia? Dekoracja Drabika ma tak mało wspólnego z tym typem dekoracji operowej, która zewnętrzną swą efektownością dusiła wartości muzyczne, że przypomnienie komisji nie jest niczem usprawiedliwione a troska o sztukę trochę niewczesna.

Szkoda więc, że komisja międzyministerjalna tak dużo poświęciła czasu na rozważania nad poprawą artystyczną teatrów miejskich. Uzależnienie udzielenia subwencji rządowej od spełnienia powyższych warunków równa się częściowej kapitulacji dyrekcyj teatralnych i zrzeczeniu się planów artystycznych, które nakreśliły z pełnem poczuciem odpowiedzialności i zrozumieniem potrzeb sztuki. Wątpię, by takie miały być zadania komisji międzyministerjalnej a w szczególności pracujących w niej przedstawicieli Departamentu Kultury i Sztuki.

Wiktor Brumer.

PIEŚNI LUDOMIRA RÓŻYCKIEGO.

Motywy polskiej pieśni ludowej odgrywają znaczną rolę w polskiej twórczości muzycznej. Istnieją trzy źródła, które zasilają nowoczesną pieśń polską:

1) tańce polskie, odznaczające się oryginalnemi niespodziewanemi zwrotami harmonicznemi, różnorodnością zmian rytmicznych i niespodziewanemi modulacjami,

2) kościelne pieśni, które biorą swój początek z tonacji kościelnej, odznaczają się zaświatową melancholją — mistycyzmem.

3) pieśni obyczajowe, które w nieskończonych obrazach przesuwają przed oczyma życie

ludu polskiego, jego wesela, chrzciny, pogrzeby; jego pierwotny mistycyzm religijny — jego szalone, fantastyczne i malownicze obrzędy ludowe.

Bogactwo i różnorodność pieśni ludowej polskiej za nieprzebrane. Źródłem tych motywów są dzieła Kolberga, który przeszedł cały kraj polski i w dwunastu tomach, wydanych przez akademję krakowską, wszystkie te motywy pozbierał. Bogaty i różnorodny charakter muzyki ludowej polskiej nadał twórczości polskiej i specjalnie pieśni charakter zupełnie odrębny.

Odznacza się ona emocyjnością, bogactwem zmian, nastrojów. Uczucie tęsknoty i smutku, przeważające w charakterze pieśni, z łatwością przeskakuje do wesołości i okrzyku, kończy się często całkiem niespodziewanem urwaniem akordu — jak gdyby znakiem zapytania.

Jednym z najwybitniejszych współczesnych przedstawicieli pieśni polskiej, wyłaniającej się z charakterystycznych pierwiastków muzyki ludowej, jest Ludomir Różycki. Pieśni Różyckiego są obrazem jego bogatej twórczości, która łączy w sobie liryczny rysunek melodji o przedziwnej lekkości z głębią wyrazu dramatycznego w malarskiem ujęciu każdej kompozycji.

Nieporównanym na jego palecie muzycznej jest rozkład barw. Pieśni te są albo fantastycznemi bajkami — albo impresjami muzyczno-malarskiemi. Ich język muzyczny jest wyrazem czystej poezji o doskonałych kształtach muzycznych — odznaczają się bogactwem motywów melodyjnych.

Cykl pieśni ukształtowanych na oryginalnych motywach prymitywnej muzyki ludowej składa się:

1) z pieśni będących jak gdyby tęsknym zaśpiewem:

„Płyną ciche srebrne łzy"; „Jesienne lasy poczerwienione", „Powiało na mnie morze snów".

Pieśni te są pełne tajemniczości, nieodgadnionego smętku — mienią się delikatnemi odcieniami barw — mają prawdziwą słowiańską rozlewność.

2) Cykl pieśni wyrosłych z rytmiki tanecznej. Są to barwne obrazki rodzajowe, w których prymitywność harmoniczna polskiej muzyki i jej dysharmonja natchnęła Różyckiego oryginalnemi pomysłami harmonicznemi.

„Kiedy cię moje oplotą sny". Rysunek melodyjny tej pieśni poddaje się najrozmaitszym przeobrażeniom rytmicznym w związku z jego treścią poetycką. Rytm żywy, akcentowany. Pieśń ta odznacza się barwnością dźwiękową. „Fioletowe góry", na rytmie tanecznym (rodzaj mazurka). Pieśń typowo polska o idylicznym charakterze z właściwością łatwego przechodzenia z nastroju wesołego tanecznego do smutku i zadumy.

„Na koralowych snach" — misterna arabeska o przedziwnej subtelności deseniu. Różycki jest w tej pieśni melodystą o wielkiem poczuciu barwy, mieniącej się najdelikatniejszemi odcieniami — i wiele innych...

Koroną twórczości pieśniowej Różyckiego jest cykl pieśni dramatycznej o nastroju głęboko patetycznym.

Pierwiastek tragizmu znajduje w tych pieśniach bezpośrednie odźwierciedlenie. Wszystkie odcienia uczuciowe, płynące z bolesnego zawodu, tęsknoty, walk, skargi znajdują tu swój wyraz i dźwięczą w melancholijnej barwie melodji, niepokoju modulacyjnym i w kontrastach rytmicznych.

„Bądź zdrowa" o nastroju burzliwym, namiętnym. Dramatyzm tej pieśni polega na silnym kontraście wstępu w charakterze recitativa z częścią środkową, która w jednostajnym potęgującym się crescendo idzie po linji nabrzmiewającej siły — ukoronowanej akordami jako wyraz głębokiego patosu.

„Zniknęła" w kilkunastotaktowej pieśni zawarł Różycki z plastyką przenikającą do głębi dramat dwóch serc, pełnych stłumionych westchnień, ukrytych łez rozstania.

„Łabędź" o wstępie na wzór włoskiego „bel canta" — część środkowa o charakterze dramatycznym.

„Stanąć nad morzem". — Symbolika dźwiękowa uplastycznia tu nastrój burzliwy, pełen błyskawic i gromów. Podnoszenie się napięcia dramatycznego jest objawem siły twórczej. Dramatyczna treść podkładu poetyckiego: suggestjonuje wyobraźnią twórczą — wywołując kaskady tonów.

Apostołem piękna dźwięku jest Różycki w swych pieśniach romantycznie nastrojowych.

„Wenecja" — delikatna niby nić pajęcza, przepojona poezją wód, po której w noc księżycową płyną, jak czarne ptaki, tajemnicze gondole.

„Agnes" pełna wdzięku pieszczotliwości — wyraz misternego zmysłu architektonicznego.

„O dziewczę, co jagnięciu" — o nastroju pogodnym, pełnym żartobliwości.

„Spojrzyj ach wokół" — w której symbolika dźwięków z niesłychaną subtelnością uplastycznia urok i poezję budzącej się wiosny.

Charakterystyczną cechą pieśni Różyckiego jest ekstatyczność — znamię rasy słowiańskiej.

Muzyka niemiecka, ten niebezpieczny rozsadnik spekulacyj mózgowych w dziedzinie najeteryczniejszej ze sztuk, jaką jest muzyka, nie miała żadnego wpływu na lekkość i powiewność linji melodyjnej pieśni Ludomira Różyckiego.

E. Sas.

Z Kongresu wychowania moralnego w Genewie.

Ludzkość usiłuje leczyć spustoszenia w duszach, które sprowadziła kilkoletnia mordercza wojna, a najpewniejszą ku temu drogą jest wychowywanie młodego pokolenia w imię ideałów dobra i sprawiedliwości. Pracę tę podjąć muszą wszystkie narody i to nietylko w odosobnionych usiłowaniach, ale w zgodnej współpracy i współdziałaniu. W tym celu postanowiono urządzać co dwa lata kongresy wychowawcze, na których przedstawiciele organizacji pedagogicznych wszystkich krajów dzieliliby się swojemi spostrzeżeniami i obmyślali metody udoskonalenia natury ludzkiej. Plan odnośnej działalności ułożony został w Londynie z inicjatywy angielskiej, stworzono tam wydział wykonawczy, którego przewodniczącym jest sir Pollock, sekretarzem zaś p. Gould. Współdziała z nim Komitet organizacyjny, powołany w tym kraju, w którym się Kongres odbywa, pozatem tworzono są wszędzie komitety narodowe, a tych powstało już 30 w krajach europejskich i w Ameryce. Pierwszy kongres odbył się w 1920 r. w Hadze i nie odpowiedział oczekiwaniom; stosunki europejskie nie doszły jeszcze wówczas do równo-

wagi, nowo-stworzone państwa walczyły o swoje granice; dopiero zeszłoroczny Kongres zwołany w Genewie mógł wykazać już pewną wydajność podjętej pracy. Wzięła też w nim udział i Polska, wysyłając 14-tu reprezentantów swojego szkolnictwa, co na 500 delegatów 30-tu krajów nie stanowi znikomej liczby. W ostatnich czasach delegacja polska zdawała sprawę ze swych czynności, dzieliła się też ze swojemi wrażeniami doznanemi na tem turnieju narodów, walczących o lepszą przyszłość świata. Nasi wysłannicy stwierdzali zupełna bezstronność obrad, szeroko stosowaną tolerancję i wysokie poszanowanie dla cudzych przekonań i poglądów. W tym amalgamanie ras i wyznań, jaki przedstawiali członkowie Kongresu, obradowali bowiem zgodnie: Hindusi, Japończycy, Chińczycy, Niemcy, Anglicy, Francuzi, Hiszpanie i t. d. twymieniano swobodnie zdania bez przykrych tarć i nieporozumień, kwestje religijne zastąpiło wysokie poczucie etyczne, zdające się przenikać wszystkie zamierzenia Kongresu. Referaty były uszeregowane w cykle następujące: Jedność życia duchowego. Nauczanie historji i braterstwo międzynarodowe. Solidarność w wychowaniu. Już z tematów tych możemy wywnioskować, że chodziło tu przedewszystkiem o złagodzenie wybujałych nacjonalizmów, przyczyniających się w znacznej mierze do zaostrzenia konfliktów, o stępienie ostrza antagonizmów narodowych i społecznych.

Praca wychowawcza prowadzona w tym kierunku musi się rozpoczynać od wczesnego dzieciństwa, a kurs nauki szkolnej powinien się do tej ideologji dostosować, szczególniej, gdy idzie o nauczanie historji. Jeden z prelegentów a znany pedagog niemiecki Foester wyszedł z założenia, że koniecznością jest budzenie już w dzieciach poczucie odpowiedzialności za stosunki międzynarodowe. Idea Związku narodów wtedy będzie urzeczywistnioną, gdy przejmą się nią wszyscy a wybitne indywidualności poświęcą się jej propagowaniu. Zastanawiając się głębiej nad treścią dziejów, nad głębszem ich duchowem znaczeniem, przekonywujemy się, że ludy traciły zawsze w walkach, zyskiwały natomiast w zgodnem współdziałaniu. Niema też takich odrębności narodowych, któreby nie dały się uzgodnić w imię wspólności ideałów ogólnoludzkich.

Niemiec i Francuz np., podług Foerstera, są raczej typami uzupełniającemi się wzajemnie, powinniśmy więc wogóle dążyć do równoważenia się różnych indywidualności narodowych. Wielka rola przypada tu nauczaniu historji; dotychczasowe metody przeczą wszelkim ideałom etycznym. *Na dzieje ludzkości należy spojrzeć nie z punktu polityki władania, lecz polityki umożliwiającej twórczość.* Teorje te popierał p. Gould, mówiąc, że należy ukazywać młodzieży ciągłość rozwoju ludzkości, życie nasze bowiem traci znaczenie, gdy je oderwiemy od pnia wszechludzkiego. Piękne określenie metody nauczania historji dał również Anglik, p. Breretou: „Historja niech obrazuje politykę przeszłości, ale przedewszystkiem niech wydobywa te zagadnienia, które mamy rozwiązywać w teraźniejszości". Francuz p. Consinet kładł nacisk na nauczanie dziejów cywilizacji, a przedewszystkiem historji odkryć wynalazków, komunikacji i t. p. Inni referenci podkreślali konieczność przedstawienia nietylko postępu technicznego ale także postępu w moralnej i duchowej dziedzinie życia. Czy Polacy zabierali głos w tych ważnych, świat cały obchodzących, kwestjach? Na to można odpowiedzieć twierdząco, z zaznaczeniem naszego głębszego ustosunkowania się do tych zagadnień. Referat p. Gąsiorowskiej wydrukowany w Warszawie ze specjalnem przeznaczeniem na Kongres, wyprzedził stawiane na nim postulaty, samorzutnie bowiem ujął tę samą sprawę z najbardziej nowożytnego i humanitarnego stanowiska, prof. zaś Halecki w świetnym wykładzie scharakteryzował wszystkie dotychczasowe usiłowania w kierunku tworzenia Związków narodów, domagając się, aby przy nauczaniu historji uwzględniać Unje i Konfederacje narodowe, nie pomijając jednak głębszego wniknięcia w dzieje własne przy wyrobieniu sobie poglądu na gruncie filozoficznym opartego, któryby wskazywał młodzieży dzieje, jako bezustanne dążenie do urzeczywistnienia ideału. W te akademickie rozprawy wkradł się jednak i moment polityczny. Przedstawiciel Indji dowodził, że nie można mówić o przesłankach moralnych, gdy miljonowe masy hinduskie są jeszcze pogrążone w niewoli.

Próbowano przeciwstawić licznym krzywdom ludzkości *solidarność*, której poczucie ma być wpajane od wczesnej młodości. Niektórzy referenci sądzili, że da się ona osiągnąć na podstawie *jedności życia* duchowego. Amerykanin p. Elliot uznał, że najważniejsze zagadnienie: wychowywania młodzieży w atmosferze harmonji i pokoju, co osiągnąć można jedynie drogą współpracy domu rodzinnego ze szkołą. P. Evald z Salcburga poruszył sprawę *religji ludzkości*, tęsknoty metafizycznej, która ujawnia się wszędzie. Realnem jej urzeczywistnieniem winno być braterstwo pomiędy ludźmi i narodami, zanik egoizmu, miłość, która jedynie może łączyć ludzkość z Bogiem. Bardzo pięknie sformułował tę myśl Francuz p. Buceau: „Trzeba wykształcić sumienia, związać je z Chrystusem i nauczyć się zwyciężać pokusy poczuciem wartości ducha". Pani Descoudres z Genewy podjęła pierwsza temat wyzwolenia dusz dziecięcych z żądzy posiadania pieniędzy. Referat swój oparła na poważnym materjale ankiety przeprowadzonej wśród 800 dzieci szwajcarskich i belgijskich. Znany propagator skautingu p. Baden-Powell mówił o miłości w wychowaniu: „Bóg jest miłością. Modlimy się o przyjście królestwa miłości, przybliżymy je zastępując w wychowaniu strach przez miłość, będzie ona zwiastunką powszechnego pokoju".

Mówiono też o *wychowywaniu przodowników.* Z radością stwierdzić możemy, że praca w tym kierunku, jakkolwiek nie przedstawiona w Genewie, prowadzi się u nas od lat kilku. Bierze się materjał świeży, ludowy, o ile zdradza on tendencje społeczne i w całym szeregu odpowiednio zorganizowanych kursów i wykładów przygotowuje go się do roli czynnej, przodowniczej we wszystkich poczynaniach kulturalnych środowisk wiejskich i małomiejskich. Rezultaty są już duże i warte zaregestrowania. To samo można zaznaczyć w sprawie samorządu szkolnego, tak bardzo na Zachodzie propagowanego. Polska wyprzedza niejednokrotnie te reformy i poczynania pedagogiczne, które dopiero inne narody wprowadzać zamierzają. Samorząd szkolny funkcjonował już u nas za czasów Czackiego w Liceum Krzemienieckiem, dziś jest znakomicie zorganizowany w Seminarjum nauczycielskiem w Łowiczu, z szerokiem uwzględnieniem przygotowania się uczniów do przyszłej działalności społecznej. Dobrze jest więc,

że uporządkowane zostały w Genewie prace pp. Kupczyńskiego, Paszkowskiego i Bykowskiego: „O wychowaniu obywatelskiem w Polsce“ i „O samorządzie szkolnym“. Przedstawione zostały one w broszurach, uczestnikom Kongresu rozdanych, a nie w referatach, co jest wielką szkodą i świadczy o braku zaufania we własne siły, niezbędnego przy zabieraniu głosu na forum międzynarodowem. Czesi za to mają smiałość i odwagę w ciągłem reklamowaniu się wszędzie. Podczas, gdy nasi delegaci zawieźli do Genewy biblioteczkę złożoną tylko z 200 książek pedagogicznych, bardzo jednak wartościowych i zwracających treścią swoją ogólną uwagę, pięciu czeskich delegatów Min. Oświaty i cały szereg przedstawicieli sfer oświatowych, swymi eksponatami, książkami i plakatami znaczną część wystawy przedstawiające wspaniale działalność kulturalną swojego narodu. Wracajmy jednak jeszcze na chwilę do punktów godnych zaznaczenia w referatach genewskich. Otóż pani Wegscheider-Ziegler z Berlina przedstawiła dążenia nowych Niemiec. Przed wojną Niemcy wychowywali posłusznych żołnierzy i poddanych, *dziś muszą wychowywać odpowiedzialnych za swoje myśli i czyny obywateli.* Kładła ona szczególny nacisk na *zniesienie podziału szkolnictwa na „ludowe“ i „wyższe“*, co stwarza niezawodnie rozłam w narodzie. Szkoła musi być ogólna i powszechna. P. Reczyńska z Berna mówiła o konieczności kształcenia instynktu macierzyńskiego. Między 15—20 r. życia dziewczęta powinny otrzymywać „wykształcenie“ wychowawczyń. Ruch w tym kierunku rozpoczął się w Belgji i Szwajcarji.

Podczas Kongresu odbywała się wystawa Harcerstwa i Czerwonego Krzyża młodzieży. Polska przysłała małą broszurkę w ostatnim zakresie, Czesi wielką ilość wyżej wspomnianych plakatów. Ważnem natomiast było nasze zetknięcie się, na gruncie genewskim, z Sekcją dla ruchu intelektualnego przy Lidze narodów, której przewodniczy profesor uniwersytetu warszawskiego, p. Oskar Halecki. Zebrania odbywane wspólnie, w których brali udział przedstawiciele wszystkich ras, dawały wiele materjału pouczającego i informującego.

Następny Kongres ma się odbyć w Rzymie. Tymczasowy komitet polski, zajmujący się pracą przygotowawczą do uczestnictwa w obradach genewskich, którego przewodniczącą była dr. Joteykówna a sekretarką p. Orsza-Radlińska, został rozwiązany, przelewając swoje atrybucje na nowe ciało stałe, złożone z przedstawicieli naszych organizacji szkolnych i oświatowych. Na stałych też już delegatów do Komitetu Wykonawczego proponowani są prof. Halecki i p. Radlińska. Miejmy nadzieję, że udział Polski, jej sił wychowawczych, w tej organizacji wielkiego znaczenia cywilizacyjnego, będzie coraz wydatniejszy.

I. W. Kosmowska.

Niebezpieczeństwo grożące naszej szkole.

Gdy wśród zamętu, jaki w różnych dziedzinach życia naszego aż nadto widoczny, chcemy wskazać jakiś punkt świetlany, pokazujemy szkołę. Patrzcie, przecież tu postęp widoczny, tyle szkół nowych powstało od najniższych do najwyższych, szkoła odradza się, ulepsza, dążymy przez nią szybko do odrodzenia duchowego. Ale, kto bliżej przyjrzy się stosunkom, kto w nich pracuje i porównywa to, co było, z tem, co jest, ten nie tak jasno na rzecz patrzy. — Widzi on, że temud ążeniu żywiołowemu narodu, temu parciu świadomemu czy nie ku tej jedynej desce ratunku przyszłości siła jakaś wielka stawia przeszkody olbrzymie, które sprawiają, że nie. to dzieje się ze szkołą i dziać będzie w dalszym ciągu, co powinno i mogłoby, że nie wydobywają się tu największe możliwości, nie wyzwalają najlepsze siły, ale jak na innych polach tak i tu do głosu przychodzi to, co się rozpychać umie.

Gdyby szukać największej i najważniejszej przyczyny tego stanu, na imię jej będzie partja. Będzie to to same imię, które niszczy nasz rozwój w tylu dziedzinach życia, a nigdzie tak nie jest szkodliwe i tak niepotrzebne, jak w tej cudownej dziedzinie ducha, gdzie idzie o rozwój przyszłego pokolenia, a zatem i podstawę przyszłej Polski.

Rzućmy tylko okiem na te okręgi szkolne (a takich jest większość), gdzie kuratorja obsadzane są przez ludzi należących do partji. Zobaczymy tam zjawisko dziwne, nawet w najgorszych czasach protekcji w niewoli nie zaobserwowane, że wszystkie urzędy wyższe zajmują tam wtedy ludzie tej samej partji i ich najbliżsi bez względu na to, że kwalifikacje większe i zasługi mają całe szeregi innych, którzy się tam dostać nie mogą. Ci ludzie, o małych nieraz zdolnościaah, z małem doświadczeniem pedagogicznem, zamiast podnosić poziom szkolnictwa, obniżają go w wielkim stopniu, zamiast pracować na polu reformy, pracują na polu formalistyki szkolnej i wprowadzają w życie coraz nowe projekty, o których usłyszeli. Postępują w tej najważniejszej ze wszystkich dziedzin, jak postępuje wszędzie homo novus, gdy chce sobie nadać pozór wyższej kultury. Wszędzie forma zastępuje treść, wszędzie formalistyka zastępuje twórczą pracę. Nieraz i mozolą się ci ludzie, pełni najlepszych chęci, ale przecież jasną jest rzeczą, że w pedagogji, która jest sztuką, znaczy tylko talent i nic więcej—a kto ma talent do polityki, do wiecowania i zasłuży się przez to partji, jeszcze nie musi posiadać talentu pedagogicznego i najczęściej nie posiada go, bo to są talenty zgoła różne.

Cóż więc za efekt tych rządów partji w szkole?

Gdyby szkolnictwo szło trybem normalnym, mielibyśmy jak najwięcej pracowników na niwie pedagogicznej, jak najmniej w administracji szkoły — pierwsza bowiem praca tylko jest twórcza, druga ma jej tylko ułatwić istnienie, a im mniej kosztuje, tem lepiej. — Tymczasem co widzimy? Weźmy np. taki dawny zabór austryjacki, gdzie szkolnictwo przed wojną mogło się najswobodniej rozwijać i gdzie właściwie dotąd szkoła niewiele się zmieniła.

Szkół nowych powstała ilość minimalna, urzędników administracyjnych dla tych szkół kilka razy tyle, co przed wojną, a grozi rozrost administracji jeszcze większy, bo już budynków dla niej nie stało. Ta wielka ilość urzędników administracyjnych pochłania sumy olbrzymie

(dość porównać budżet, ile kosztują nauczyciele a ile kuratorja). Gdyby te wielkie sumy szły na większą ilość szkół, na ich lepsze umieszczenie, na środki naukowe, moglibyśmy się cieszyć i widzieć wielki postęp szkolnictwa. Tymczasem na środki naukowe daje się bardzo mało (prócz Warszawy), na wiele rzeczy opodatkowuje się uczniów, a olbrzymie sumy idą na coraz to nowych mniejszych i większych urzędników administracyjnych. To jest wpływ partji. Bo partja, chcąc zadowolić swoich członków, od czasu do czasu obdarza jakiegoś jej zasłużonego większą posadą, choć ona nie jest potrzebna, a nowo wprowadzony dygnitarz wprowadza za sobą cały sztab panien piszących na maszynie, urzędniczek i urządzeń w postaci automobilistów, powozów etc. Gdyby z tego wynikła tylko szkoda materjalna dla państwa, już byłoby źle, ale te szkody sięgają głębiej w życie szkoły. Ta moc dygnitarzy, urzędników administracyjnych musi się wykazać jakąś pracą, musi uzasadnić swoją potrzebę, stąd całe morze nowych przepisów i formalności, które szary nauczyciel wykonywać musi, a które wcale nie przyczyniają się do podniesienia poziomu wiedzy czy wychowania. Namnożyło się kartek i papierków, o jakich nigdy austrjacka biurokracja nie słyszała, z tego wynika wielki efekt papierowy, a mały wewnętrzny postęp.

Dobrego nauczyciela musi zrażać do jego zawodu ten szalony brak zaufania, którego wyrazem całe strony kratek — złego nie nauczą te kratki nie, lecz utrwalą w przekonaniu, że to, co jest w papierze, zastąpi mu rzeczywistą pracę i wskutek tego ograniczy się do pisaniny.

Ale wpływ partji nie kończy się tu jeszcze. Ma ona możność oddziaływania i na obsadzanie posad nauczycielskich. I tu dzieją się rzeczy gorsze, niż za dawnej niewolnej protekcji. Pomijanie sił wykwalifikowanych na korzyść niewykwalifikowanych spokrewnionych z partją jest na porządku dziennym i gdyby związki zawodowe nie były tak bardzo zajęte walką o byt, toby musiały więcej się tą sprawą zająć i wyświetlać fakta. Kosztuje to zresztą państwo bardzo dużo, bo sile niewykwalifikowanej a protegowanej daje się potem urlop, aby uzupełniła studja i w ten sposób opłaca się dwie posady zamiast jednej. — Zdarza się i tak, że siła kwalifikowana dostanie z łaski takie chwilowe zastępstwo.

To są zjawiska, które muszą się w przyszłości odbić olbrzymiemi szkodami na szkole polskiej. Kto to widzi i zdaje sobie z tego sprawę, ogarnia go wielki ból i lęk o przyszłość. Bo cóż będzie, jeżeli zaprzepaścimy jeszcze tę ostatnią placówkę, tę ostatnią nadzieję lepszej przyszłości.

Trzeba uderzyć na alarm, aby społeczeństwo wzięło się do ratunku. Trudno od posłów zaangażowanych partyjnie żądać, by wystąpili z programem bezpartyjnośri w szkole — oni tylko będą (wedle doświadczenia dotychczasowego) walczyć o wpływ swojej partji w szkole. Ale całe nauczycielstwo musi żądać stanowczo i niewątpliwie swobodnego rozwoju szkolnictwa i musi o nie walczyć, jak walczyło niegdyś o polską szkołę. — Kto wie bowiem, czy niewola partji wiele mniejszą jest od niewoli politycznej — jest tylko mniej widoczna, ale skutki jej mogą być nader zgubne.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego“ wynosi: za marzec **6000 mk.**
Za granicą w krajach z wysoką walutą kwartalnie **13** franków. W Ameryce **1** dolar.
Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750. **Cena № pojedyńczego 1500 mk.**

Cena ogłoszeń: cała strona 400.000 mk. ½ str. 200.000 mk. ¼ str. 100.000 mk. ⅛ 50.000 mk.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.
Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: w poniedziałki, środy i piątki; administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. sukc. T. Jankowskiego, Warszawa, ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.